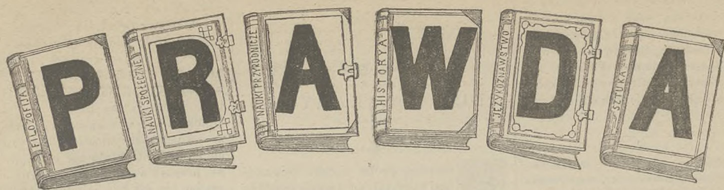
Nr. 48. Warszawa, dnia 16 (28) Listopada 1896 r. Rok XVI.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Kłopoty p. Hanotaux.

Socyaliści francuscy z właściwą sobie impertynencyą nie poprzestali na wymowie objawów dla świata całego zrozumiałej. D. 21 b. m. w Izbie deputowanych Millerand zapytał ministra spraw zagranicznych: czy Francya ma jaki układ z potężnem mocarstwem wschodniem, czy zwłaszcza zawarła z niem konwencyę militarną i wogóle, jeżeli zaciągnęła jakiekolwiek zobowiązania, w jaką przyoblekła ją formę: jest-że to umowa dwustronna, czy protokół, czy też wymieniona między stronami nota memoryałowa?

Przyjaciele Francyi — mówił Millerand — oddawna już wskazywali potrzebę zespolenia się; wrogowie jej na myśl o niem dyszeli ze strachu. W samej Francyi już w r. 1870, podczas pogromu, socyaliści pierwsi wydali hasło przymierza. W r. 1875 zamysły Bismarcka rozwiała Rosya pospołu z Anglią; do nowej wojny nie przyszło: poznały Niemcy, że prawo nie da się bezkarnie tratować przez siłę. Nareszcie wśród świetnych objawów snuje się teraz już pasmo porozumienia; ale jestże ono przymierzem?

Francya z tem większem prawem pytanie to zadawać sobie może, iż świadczy już przysługi, a w formule *do ut des* jest dotychczas stroną jedynie dającą: i tak, wyświadczyła pomoc finansową, dała poparcie przeciw Japonii, dopomogła w zatargach amerykańskich. Nie mamy żadnej pewności — zawołał Millerand — zali jutro już nie znajdzie się uwikłaną w jakieś przedsięwzięcie ryzykowne, któregoby mogła uniknąć. O losie Francyi tylko Francya rozstrzygać powinna — woła mówca. — Sama konstytucya dopomina się jasnego przedstawienia rzeczy; konstytucyjnie rząd zobowiązanym jest do usunięcia wątpliwości: jakie korzyści i jakie ciężary wzajemne zapewniono sobie w zawartym związku? Zakończył Millerand sentencyą, że jest coś gorszego od odosobnienia w czasach spokojnych: osamotnienie w chwili niebezpieczeństwa. Tego się dla ojczyzny swej lęka i do ukojenia tej trwogi właśnie ministra wzywa.

Minister stawił się na wezwanie. Pomimo częstej zmiany rządów we Francyi — mówił — nie było jeszcze takiego, któryby się sprzeniewierzył kierunkowi polityki zgłębi rozumu stanu wyszłej, a uczuciami ludu podsycanej. Niedawno świat cały poznać musiał, że odwiedziny Wielkiego Monarchy u wielkiego narodu są jakby uroczystem jakiemś świętem. W tych dniach pamiętnych wszystko nawiązywało się już na przyszłość dla przyszłości. Wszyscy to tak widzieli, tak czuli i tak wiedzą; tylko p. Millerand czegoś jeszcze nie wie, coś wiedzieć pragnie. Dla p. Milleranda minister ma jedno tylko słowo: Wszystko, co publicznie wyrazić i powiedzieć się dało, zostało już wyrażonem i powiedzianem w Cherbourgu, w Paryżu, w Châlons. Na stanowisku ministra rzeczypospolitej p. Hanotaux nie ma nic więcej do dodania; wyższy interes, który Izba łatwo zrozumie, zobowiązuje go do wytrwania w tej postawie. „Oto wszystko, co powiedzieć miałem o porozumieniu się (*entente*), którego nikt już obecnie zaprzeczać nie śmie, o którem nikt wątpić już nie może. Temi słowy zakończył swą odpowiedź wyzwany przez Milleranda minister.

P. Hanotaux ani razu nie użył słowa, na które czekano; nie nazwał porozumienia się przymierzem (*alliance*). Mowa jego też nie wywarła wrażenia, nawet w Izbie, tak szczerze oportunizm rządu swym własnym popierającej. Minister wybrnął wprawdzie z kłopotu, ale nie odniósł zwycięstwa — co zwykle dzieje się w razie powodzenia. Jeszcze słowa p. Hanotaux nie przebrzmiały, kiedy głos z lewicy zawołał: „Tyle wiemy, co i przedtem“ — i miał słuszność; tylko zapomniał o tem, że każdy minister spraw zagranicznych ćwiczyć się musiał długo w szkole milczenia, i że są rzeczy w świecie, których nie można chwytać, które trzeba wyczuwać. Na konstytucyjne niepokoje Milleranda znaleźć ma ratunek dopiero przyszłość, aby go podać, nie usty ministra, ale gromem wypadków. Zasłony z oblicza tej przyszłości zedrzeć nie podobna. Na to p. Hanotaux p. Millerandowi nic nie poradzi.

Hamburger Nachrichten — nieopatrznie kompromitując wielkość Bismarcka, korzystają z powściągliwego chłodu ministra francuskiego, aby zadecydować, że nic nowego nie pokazał, bo nic do pokazania nie było. Jeżeli tak, to jaki miał sens, jaki rozsądny cel praktyczny, były dymisyonowany kanclerz cesarstwa, gdy właśnie całej powagi, a, jak dla Niemiec, i grozy, stosunków francusko-rosyjskich używał jako pobudki i argumentu przeciwko polityce Capriviego; gdy błąd tej polityki podawał za fundament arcy-niepomyślnego dla Niemiec zespolenia się

dwóch mocarstw, od wschodu i od zachodu naciskujących cesarstwo niemieckie? Niema logiki, niema prawdy, albo w owym dawniejszym, albo w tym nowym pomruku wielkiego ex-kanclerza. Coraz wyraźniej widać, że lepiejby mu już było teraz zasiadać z Odynem w Walhalli, niż we Friedrichsruhe intrygować pospołu z maleńkim jakimś dziennikarzem hamburskim.

Tydzień polityczny. We Francyi, podczas rozpraw nad budżetem ministeryum spr. zagranicznych d. 21 b. m. Millerand poruszył w Izbie deputowanych sprawę stosunków z Rosyą. P. Hanotaux dał odpowiedź ogólnikową. Mówcy opozycyjni uskarżali się wogóle na tajemniczość, jaką okrywa się dyplomacya francuska; za cesarstwa nawet były księgi zielone, teraz już ministrowie o nich zapominają. Hanotaux przyrzekł wybrać najważniejsze depesze. Izba poprzestała na obietnicy.

Sejm pruski w d. 20 b. m. rozpoczął swe czynności. Odczytana mowa tronowa stwierdziła pomyślny stan skarbu; pozwala on podwyższyć pensye urzędnikom, nauczycielom gimnazyów, nauczycielom elementarnym, sędziom, a emerytury wdowom. Przewyżka wynosi 60 mil. marek. Złożono lub zapowiedziano projekty nowej ustawy miejskiej normalnej, urządzenia izb handlowych, zmiany przepisów o zgromadzeniach, przymusowego umorzenia długów, konwersyi pożyczki 4-procentowej. Patryoci pruscy spodziewali się środków obronnych przeciwko Poznańskiemu i Szlązkowi; mowa o nich nie wspomniała. Nie ustają przecież pogłoski, że mają być zakazane, na początek, wszelkie narady publiczne w języku polskim, pod pozorem nierozumienia tego języka przez urzędników nadzorczych. Mateź arcybiskup Stablewski otrzymać od ministra jakiś materyał, który go wrzekomo przekona o konieczności poparcia usiłowań ministeryalnych.

Artykuł 5 nowego traktatu włosko-abisyńskiego, zapobiegając odstąpieniu Kassali Anglikom, zabrania Włochom jakichkolwiek tranzakcyj terytoryalnych przed ostatecznem wyprowadzeniem granicy. We Włoszech wytwarza się nowe stronnictwo pod hasłem „Wynośmy się z Afryki — im prędzej, tem lepiej.“

Król serbski d. 20—24 bawił w Wiedniu. Przyjmowano go z wielkimi honorami. Cesarz i kanclerz znaleźli sposobność do poprowadzenia w dalszym ciągu rozmowy rozpoczętej na pokładzie statku w Orsowie d. 27 września. Na wielkim obiedzie 22 b. m. panowała ciepła atmosfera. D. 24 b. m. młody król wyjechał do Rzymu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA OBŁĄKANYCH.

II.

Pierwszą próbę opieki domowej nad chorymi na umyśle zrobiono r. 1887 w gub. Razańskiej z inicyatywy lekarza miejscowej lecznicy psychiatrycznej, p. Bażenowa, podobno z powodzeniem. Obecnie próbę powtórzył dr. Gowsiejew w gub. Jekaterynosławskiej. Poraz pierwszy wystąpił on z wnioskiem jeszcze przed laty ośmiu, ale napotkał dość ostrą opozycyę, popartą przekonaniem, że oddanie obłąkanych w opiekę domową byłoby poprostu skazaniem ich na znęcanie się i wyzysk ciemnej, częstokroć brutalnej ludności. Włościanie zamożniejsi nie przyjmą do siebie chorych, a natomiast przygarną ubodzy, żądni zarobku, którzy sami odżywiają się licho, częstokroć cierpią głód. Chorzy, pozostawieni bez dozoru podczas najgorętszych robót polnych, mogą się stać przyczyną klęsk— pożarów. Te wszystkie uprzedzenia inicyator potrafił zwalczyć r. 1891 i uzyskał upoważnienie na próby. Umieszczanie chorych po chatach włościańskich rozpoczęło się w czerwcu r. 1893 i dziś po trzyletniem doświadczeniu podobno są już niezłe wyniki. Włościanie zawiadamiani za pośrednictwem ogłoszeń w zarządach gminnych, otrzymują dane o chorych od lekarza lub felczera i jednocześnie sami składają świadectwa felczerów o swoich kwalifikacyach na opiekunów. Za utrzymanie pensyonarza pobierają od ziemstwa 3—6 rubli miesięcznie, stosownie do mniejszej lub większej trudności opiekowania się chorym, tudzież względnie do jego uzdolnień, jako siły roboczej. Kilka razy do roku lekarze psychiatrzy odwiedzają chorych i rozciągają kontrolę nad ich opiekunami. Obecnie w tych miejscowościach znalazło przytułek, jak w Szkocyi, $^1/_3$ wszystkich obłąkanych. Wogóle, jak twierdzi dr. Gowsiejew, rezultaty są bardzo pocieszające. Opiekunowie w większości są zadowoleni ze swoich pensyonarzów, przyzwyczaili się do nich i traktują jak członków rodziny, pracują wspólnie z nimi. Dla chorych system ten ma być najodpowiedniejszym, gdyż pochodzą oni z ludu, znajdują u swych opiekunów warunki i otoczenie, do jakich nawykli od dzieciństwa.

Dziś znaczna liczba psychiatrów przyszła do przekonania, że żaden zakład specyalny, żadne kolonie lub systemy drzwi otwartych nie dadzą choremu tyle swobody i życia, ile dostarcza im rodzina. Widzi on to otoczenie, jakie towarzyszyło mu od kolebki, więc prędko zdobywa sobie na nowo „postać ludzką,“ może łatwiej zachować równowagę i spokój duchowy, czuje, że nie jest *numerem*, jak w szpitalu, lecz *człowiekiem*.

Inicyator próby nie ukrywa jednak i ujemnych przykładów, np. znęcania się opiekunów nad chorymi, ucieczek, wypadków nieszczęśliwych z tego powodu, że chorym dawano robotę niewłaściwą. Wszystko to jednak złożono na karb pierwszych prób, na brak wprawy i obycia się z nowym systemem.

Czy jednak trzyletnie doświadczenia pozwolą stanowczo zawyrokować o powodzeniu takiej organizacyi; czy można ją zalecać jako doskonałą? Trzeba przedewszystkiem wziąć tu pod uwagę temperament, cechy atropologiczne i kulturalne danej ludności. Opieka domowa w Gheelu, jak widzieliśmy, jest wyjątkową, bo tam weszła do charakteru mieszkańców dziedzicznie. Powodzenie „patronażu“ w Szkocyi

---

G. DANIŁOWSKI.

NA SPACERZE.

Widzę tę noc i tę chwilę, kiedy między nami legła jak gdyby ściana lodowa... czułem, żeśmy sobie wyrządzili jedną wielką — i jak myślałem— niepowrotną krzywdę. Nie mogło być już wtenczas — i nie było między nami ani cienia zmysłów — tylko jakiś wstyd, wyrzut i żal... W tem księżyc wcisnął się w okno i padł na jej twarz smutną i bladą, na oczy osłonięte powieką, z pod której wymykały się łzy.. A w sercu mojem zadrgała silnie jakaś struna majaczącego niewyraźnie niegdyś i prawie już zapomnianego uczucia... Wziąłem ją lekko w dłonie i uczułem tak silnie, jak nigdy przedtem, że trzymam cząstkę istoty najdroższej dla mnie na świecie. Z bałwochwalczą czcią niemal usunąłem się do nóg jej—i zacząłem białe stopy całować... W piersi miałem tkliwość ogromną, szczerość serdeczną i rzewność taką, jakiej nie zaznałem przedtem w mem życiu... A kiedy ona narzuciła mi swe ręce na szyję i łkając, głowę na czole mojem oparła, to wstrzymało się myślenie mego mózgu i pulsów wszystkich tętno... I teraz rozumiem i widzę jasno, że tylko *to* jedno może okupić *tamto*; że bez *tego* miłość budzi w nas zwierzę drzemiące, a z tem drzemiącego anioła. I ci to właśnie rozbudzeni anioli skrzydlaci wiążą na niebie węzeł złocisty i póki nie usną, w alabastrowych swych palcach trzymają silnie srebrne jego końce. Bo choćby para przeszła przez progi wszystkich meczetów, nie uzyska tajemniczej mocy świętego sakramentu, jeżeli tylko dąży do sypialni; tam ujrzy trumnę swojej nieprawej miłości i blade widmo trupa zabitej znajdzie w swych sercach nad ranem.

Kto tylko pragnął całować usta swojej wybranej a nigdy nie czuł nieprzepartej chęci uklęknąć przed nią, ze czcią uściskać jej stopy, odgadnąć myśli jej czoła i serca drgnięcia, ten nie ma prawa powiedzieć: „kocham.“ Niech mówi „żądam.“ Tak niech mówi i ta, co tylko białe czoło widzieć umiała i oczu jego płomienie, a nie spytała nigdy: czemu to czoło zmarszczka przecięła? dlaczego oczy twoje dziś smutne i dokąd patrzą?

O, myśmy mieli prawo powiedzieć: „kocham“ i mam to prawo dziś jeszcze.

Słuchaj, pół roku zaledwie żyliśmy razem, a przez ten krótki czas z głębi istoty jej zaczerpnąłem ogromnie dużo. a ona ze mnie także dość wiele. Byliśmy razem bogatsi o całe jedno serce, o całą jedną duszę... Czuliśmy za dwoje, myśleliśmy podwójnie... Teraz bez niej... jestem jak ten suchotnik, co jednym tylko płucem ciężko pracuje, gdy dawniej całą piersią oddychał. Ja mam żal do niej prawie, że tak odeszła ode mnie bezlitośnie i nie powróci już nigdy.

Ostatnie słowo wymówił tak dziwnie, że mnie dreszcz przeszył; bom po raz pierwszy odczuł w całej pełni okropność tego wyrazu, wyższego nad pojęcie ludzkie...

Stach patrzał w przestrzeń. Twarz jego, raczej brzydka niż piękna, w blaskach księżyca miała taki wyraz smutku, sennej zadumy i marzycielstwa, żem bał się poruszyć, nie chcąc go budzić. Na około nas było cicho. Drobne postrzępione chmurki, jak tabun rozkiełznanych cieni mknęły szybko przez tarczę księżyca. Słowik w pobliżu rwał serce i śpiewał jakąś splątaną pieśń, brzmiał coraz głośniej, coraz zapamiętalej... aż nagle urwał, jakby mu zbrakło tchu... Stach zbudził się...

— Jakie to dziwne — szepnął — mnie się często zdaje, że ja tęskniłem za nią i marzyłem o niej, chociaż jej jeszcze nie znałem.

— Czy to nie złudzenie tylko? — wtrąciłem. Czyż można taką dziwną zagadkę zrozumieć?

— Może — odparł. Chociaż opowiadano mi w pasie cisz morskich jedną legendę. Pamiętam ją trochę. Żeglarze objaśniają nią ciszę morską i różne inne zjawiska — a według mnie samo istnienie jej stwierdza ten dziwny fakt i na swój sposób dość go ciekawie tłómaczy.

Według tej legendy, podobno Bóg, stworzywszy ziemię, postanowił przygotować

możo zaleźeć również od cech właściwych ludności i warunków jej otoczenia. Na zachodzie Europy w wielu miejscowościach próby się nie udały właśnie z tego powodu, że temperament ludu nie daje się nałamać do obowiązków tego rodzaju. Opieka domowa nad obłąkanymi nie przestaje tedy być tam urządzeniem przygodnem, nietrwałem. Na jego korzyść wprawdzie przemawia taniość utrzymania chorych, ale ten jeden wzgląd nie może przeważyć sumy innych. Przykłady dowiodły, że chłop-opiekun ceni chorego i łagodnie z nim się obchodzi tylko wtedy, gdy spostrzega widoczną korzyść, tj. gdy oprócz płacy za utrzymanie może wyzyskać siłę mięśniową pensyonarza, jego zdolności, bardzo pożyteczne dla gospodarstwa. Niedołęstwo i apatya, wynikające ze stopnia lub rodzaju choroby umysłowej są dostatecznymi czynnikami, wywołującymi nietylko niechęć, ale wprost nienawiść i skłonność do znęcania się nad upośledzonym.

Czy można u nas zalecać taki system?— Według naszego mniemania, opieka domowa nie dałaby się tutaj zaszczepić jednolicie i z powodzeniem. Mogą być próby pojedyncze nawet świetne, jak gdzieindziej, ale nie będą one rękojmią do wprowadzenia tego systemu jako stałej organizacyi w całym kraju.

Lud nasz niewątpliwie posiada wiele cech dodatnich, są nawet całe wioski, których mieszkańcy pod względem swego temperamentu daliby rękojmię powodzenia opieki domowej nad obłąkanymi; ale tylko w formie prób. Nad utrwaleniem tego rodzaju urządzeń trzeba byłoby długie lata popracować i to nie można ręczyć, czy powszechnie dałby się osiągnąć pożądany skutek najusilniejszych zabiegów. Niedawno pisaliśmy o niedoli dziatwy wiejskiej, upośledzonej fizycznie, o znęcaniu się rodziców nad nią, jako ciężarem domowym, żołądkiem pochłaniającym niepotrzebnie pewną część pożywienia, istotą, zajmującą kąt, w którym można byłoby jaki sprzęt umieścić lub kojec z kurami postawić. Dziecię takie częstokroć mniejszą ma wartość u ludu, niż pies stary, bo ten chociaż z braku zębów ugryźć złodzieja nie może, potrafi jednak zaszczekać i ostrzedz przed nim. Obłąkany, chociaż bywa bratem czy synem gospodarza, jeżeli nie posiada tyle siły i świadomości, żeby mógł przynajmniej najprostsze roboty wykonywać, również jest narażony we własnej rodzinie na poniewierkę, popychania i uderzenia.

Przypuśćmy, że zarówno na utrzymanie swoich, dotkniętych obłędem, jak i obcych, włościanin będzie pobierał pewną kwotę, pokrywającą budżet wydatku na jadło i przyodziewek. Czy wobec tej interesowności, podsycanej przez organizacyę, chory będzie moralnie traktowany tak samo, jak każdy inny członek rodziny? — Pozostanie zawsze zwierzęciem domowem, bitem i sponiewieranem za najmniejsze wykroczenie, z jakiego niepoczytalny, zdać sobie sprawy nie może. P. Gowsiejew wspomina o wypadkach znęcania się nad chorymi, o ucieczkach ich itd. Nie mówi zaś o tem, jaki procent chorych, źle traktowanych, doznaje pogorszenia zdrowia. Znamy fakty szorstkiego obchodzenia się z obłąkanymi nawet śród rodzin ukształconych, szczególnie gdy w grę wchodzą warunki bytu. Więcej tedy możemy uważać za rzecz naturalną znęcanie się nad chorymi tego rodzaju śród włościan, niż ludzkie ich traktowanie.

Nie idzie za tem, ażebyśmy potępiali zabiegi i próby w tej mierze. Owszem — wszelka forma opieki nad chorymi jest dobra, gdy się nie można zdobyć na lepszą. System taki o tyle jednak jest gorszym od innych, że bardziej nosi charakter pierwotny i dobroczynny, że więcej daje możności do wyzysku. Prawda, że i w szpitalach wielkich, „wzorowych,“ bywały nadużycia i znęcania się nad chorymi; ale tam łatwiej sprawdzić i usunąć złe.

Naszem zdaniem, najwłaściwsze u nas byłyby zakłady drugiego typu — kolonie rolne dla chorych na umyśle, jako instytucye społeczne. Przemawia za niemi przedewszystkiem sam sposób urządzenia, zapewniający chorym spokój, świeże powietrze, ruch, praca umiarkowana, właściwa opieka moralna, mieszkanie i pożywienie. Ogół powinien rozwinąć zabiegi w tej sprawie, zwłaszcza że czuje na sobie dotkliwy ciężar—znaczną liczbę obłąkanych, dla których wyrobienie miejsca w szpitalu częstokroć bywa tak trudne, jak zdobycie najlichszej posady dla zdrowych.

Faworyzujemy instytucye jałowe, opiekujemy się przestępcami nieletnimi, usiłujemy ich wykierować na pożytecznych członków społeczeństwa i cieszymy się wielce, gdy w ciągu kilku lat jeden z nich stanie się „porządnym“ na pewien czas. Natomiast zupełnie jesteśmy bezsilni wobec najstraszniejszych klęsk społecznych; nie możemy zapewnić opieki i schronienia tym rzeszom nieszczęśliwych, których wytworzyły warunki życia i obarczenia dziedziczne.

Cóż mówić o walce z tymi warunkami, a tem bardziej o przeciwdziałaniu obarczeniom dziedzicznym? Buchner, Lucas, Piorry, Esquirol, Sedgwick, Maudsley i inni wykazali straszną siłę dziedzicznego przechodzenia chorób umysłowych, skłonności do melancholii, hipokondryi, do samobójstwa, przestępstw, pijaństwa, gry — słowem do tego wszystkiego, co wytwarza niemoc duchową społeczeństwa. „Doświadczenia i spostrzeżenia pokazały, mówi Büchner, że ta nieszczęsna skłonność do umysłowego zakłócenia jest szczególnie w wysokim i prawdopodobnie wyższym stopniu dziedziczną, niż wszelkie inne choroby i skłonności do nich i że dzie-

---

naprzód wszystko, co może być do jej dziejów potrzebne, bo miał wiele jeszcze zajęcia w innych światach. Zresztą chciał się przyjrzeć swym dziełom. Otóż na ostatku kazał przygotować gliny cielesnej na pewną olbrzymią liczbę ludzi, która ma przeżyć na ziemi. Rozkaz ten wykonano dokładnie. Później jął Bóg tworzyć taką ilość dusz męzkich i kobiecych, a każdą kładł w wielką formę, aby tam ostygła, cokolwiek stężała i straciła część swej lotności. Inaczejby z ciała łatwo umknęła. Kiedy Bogu pozostawało jeszcze — nie pamiętam ile dusz zamknąć w formy, kilku swawolnych aniołków w szalonej gonitwie połowę form pustych potłukło, a bojąc się gniewu bożego — skorupy powrzucali w morze. Stąd to powstały rafy podwodne. Gdy to spostrzegł Bóg, a nie miał czasu już złemu zaradzić, każde dwie dusze stopił w jedną, swawolnym zaś aniołom za karę kazał te dusze odmienne od innych nosić do składu. Napracowali się swawolnicy bardzo, bo dusze te były niezwykle wielkie i miarą swą inne więcej, niż w dwójnasób przewyższały, a przytem dziwnie mało ostygły, tak, że parzyły anielskie dłonie. Właśnie, gdy całą pracę skończono, nadchodził jeden z tych wieczorów, które Bóg z aniołami przepędza, słuchając ich rozmów i uwag, jakie podczas tych wyjątkowych wieczorów robić sobie pozwala. Rozmawiano właśnie o tych nowych duszach, kiedy wystąpił młody aniołek, Przemądrym zwany — widać dlatego, że za mądrym aniołem nosił brylantowy cyrkiel — i rzekł do Pana:

— Boże, wyjątkowość tych dusz zamąci równość ludzką na ziemi?..

— O jakiej myślisz równości? — mój ty Przemądry — odparł Pan, a w głosie jego zadrgała jakaś tak dziwna nota, że Przemądremu głos zastygł w piersi. Spojrzał więc z wyrzutem na twarz Mądrego anioła, od którego coś o równości zasłyszał, lecz widząc ją surową i jasną, zmieszał się jeszcze więcej, a chcąc to ukryć, udał zamyślonego, chociaż o niczem wtenczas nie myślał. Szczęściem dla niego odezwał się anioł Oszczędny, co się robotą gliny cielesnej zajmował:

— Boże, dusze te wyszły tak wielkie, że gliny może nam zbraknąć.

— Będziemy je w cieńsze płaty zawijać — odrzekł Bóg.

— Więc znowu będziemy musieli dźwigać do Ciebie te dusze, Panie, i ręce parzyć — jęknęli chórem swawolnicy, a twarze ich zaczęły się krzywić do płaczu. Bóg zmarszczył się i zamyślił. A w chwili tej wszystkie gwiazdy wstrzymały swe obroty i nieruchomie zastygły w przestrzeni, wszystkie wiatry pokładły się na morze i urodziła się cisza morska.

W końcu rzekł Bóg:

— Dobrze, więc dusze te dziś jeszcze rozdzielone będą, a mają być podzielone tak, aby z jednej części mogła stać się kobieta, a z drugiej mąż. Pracę tę wykona jeden z tych, którym te dusze są bliskie.

Tu Bóg powiódł okiem wokoło i wzrok jego spoczął na twarzy jednego anioła, co stał pochylony naprzód z napół rozpostartemi skrzydłami, jakby gotowy do lotu, a oczy wielkie, piękne i smutne w przestrzeń zatopił.

— Wykonasz ty — Marzący!

Anioł drgnął, jak gdyby ze snu zbudzony i spojrzał na Pana.

— Idź — ciągnął Bóg — bo w duszach tych dużo jest twego.

Poszedł Marzący, lecz ujrzawszy te dusze, spostrzegł w nich taką moc różnorodnych pierwiastków z sobą powikłanych, że rozdział wydał mu się niemożliwy. Więc wrócił anioł i stanąwszy przed Stwórcą, rzekł miękim głosem:

— Panie, ja tej pracy spełnić nie mogę!

Struchleli wszyscy. Ogromna cisza zawisła nad niebem i słychać było tylko szelest skrzydeł, drżących od trwogi, bo po raz pierwszy anioł odmówił Bogu posłuszeństwa. Bóg podniósł dłoń i położywszy ją na czole Marzącego, rzekł:

— Ty za to będziesz czuwał nad temi duszami na ziemi i swoją władzą je cieszył.

(D. n.)

dziczność taka działa z prawdziwie demoniczną siłą w niektórych rodzinach, skazanych na ten straszny los.“

Ścisłe wyliczenia w zakładach dla obłąkanych dowiodły, że ze wszystkich pensyonarzy połowa, a co najmniej trzecia część pochodziła od chorych na umyśle rodziców albo dziadków. Ze sprawozdania podanego r. 1861 rządowi francuskiemu, okazało się, że z tysiąca przyjętych do zakładów leczniczych odziedziczyło obłęd 264 mężczyzn i 266 kobiet. Z tej liczby mężczyzn 110 odziedziczyło chorobę po matce, 128 po ojcu i 26 po obojgu. Z kobiet 130 po matce, 100 po ojcu i 36 po obojgu. W hesseńskich zakładach dla obłąkanych z początkiem r. 1878 razem 713 chorych, z których 259 miało niewątpliwie chorobę dziedziczną. Sprawozdanie zakładu z Erlangen podaje, że dziedziczność była przyczyną choroby u 42% kobiet i 32% mężczyzn. Trélat z 93 zbadanych wypadków choroby umysłowej podaje 43 jako odziedziczone. Dr. Merlen zapewnia, że niewątpliwą przyczyną co najmniej jednej trzeciej wszystkich wypadków chorób umysłowych jest dziedziczność.

Tak więc możemy uważać jedną trzecią klęski za niemożliwą do usunięcia żadnymi środkami urządzeń i ulepszeń społecznych. W mocy ludzkiej byłoby zapobiegać tylko kategoryi, wynikającej ze *skłonności* odziedziczonej. Tę właśnie skłonność rozwijają i zamieniają na obłęd nieprzyjazne warunki życiowe.

LISTY Z PARYŻA.

***

Teatr ludowy w Bussang. — Zebranie doroczne Towarzystwa hypnologicznego.

Oddanie się warstw oświeceńszych polityce, uświadamianie w tym kierunku mas ludowych, przyniosło niewątpliwie poważne rezultaty w naszym wieku. Ale kiedy stało się zbyt wyłącznem, w orszaku jego następstw ukazały się nietylko dobre. Mówiąc nawet o najsympatyczniejszych odłamach, musimy trwać przy tem zdaniu. Pytania polityczne są często piekące, zmuszają nieubłaganie do zajęcia się niemi, ale niepodobna nie przyznać, że nie są wieczystemi i rzadko posiadają charakter ogólno ludzki. Stąd też wskazaniem jest nie zapominać i o wyższych pierwiastkach, budząc ducha młodszej braci: o wiedzy, poezyi i pięknie.

Na tem stanowisku stanęli założyciele tak zwanych ludowych uniwersytetów w zachodniej Europie i w Ameryce. Na niem stoi i Maurycy Pottecher, twórca teatru dla ludu w wiosce lotaryńskiej Bussang.

Juliusz Michelet kilkakrotnie wzywał po r. 1848 młodych pisarzy, aby dali warstwom niższym „teatr prawdziwie ludowy, gdzie lud widziałby siebie, swoje czyny i swój charakter, teatr prosty i silny, podobny do dawnych przedstawień gminnych, pobudzający wyobraźnię wiejską, a posiadający treść świeżą.“

Ukształtowanie się ostateczne takiego teatru byłoby wynikiem krytyki społeczeństwa i jego samorzutnego rozwoju. Wysoce ważnym jest już początek. Nie wszystkich prawdopodobnie zadowolą dwa dramaty, wystawione przez Pottechera, lecz przykład zaleca się do naśladownictwa i do ulepszenia.

Bussang leży tuż u granicy, a znane jest ze swego malowniczego położenia i ze swoich wód. Pottecher rozpoczął przedstawienia pierwszego września 1895 r. Na łące, bez żadnych dekoracyj, w ramach górzystej przyrody, odegrano dramat: „Dyabeł szynkarzem“ (Le diable marchand de goutte). Powodzenie było znaczne, dwa tysiące widzów oklaskiwało utwór z zupełnem zadowoleniem. W tym roku teatr ludowy, ostatecznie już urządzony, będzie dawał dwa przedstawienia rocznie—w niedzielę lub w święto po południu. Jedno zupełnie bezpłatne, tak, że i najuboższy chłopek będzie mógł na nie przybyć, drugie zachowane dla abonentów, którzy zechcieliby w ten sposób poprzeć przedsięwzięcie. Z zebranych pieniędzy, po przeprowadzeniu jeszcze zapisów, opłaci się aktorów, wzniesie się osłoniętą galeryę, które umożebnią widowisko i w dzień słotny, zwiększy się, o ile będzie możebnem, ilość przedstawień. Drugie przedstawienie będzie zawsze złożone wyłącznie z nowych sztuk; na przyszły rok ma być dane jako pierwsze, to jest bezpłatne.

Piętnastego sierpnia 1896 r. wznowiono „Dyabła szynkarza,“ w warunkach zaznaczonych. Kilka tygodni potem wystawiono nowy dramat „Morteville.“ Zarazem zbudowano scenę z drzewa i żelaza. Wymiary jej dość znaczne: wznosi się u stóp wzgórka, tło jest ruchome, tak że oko widza zależnie od okoliczności może być zatrzymane przez tylną zasłonę, albo też przepuszczone w zieleń wzgórza.

„Dyabeł szynkarzem“ ma zwalczać alkoholizm. Pośród kosiarzy, którzy raniutko stanęli do roboty na łące starego Hardouina, zjawia się w stroju niemieckiego roznosiciela dyabeł z wódką. Młodszy syn Hardouina upija się, wszczyna kłótnię z ojcem, podnosi nań kosę. Wyklęty i pełen skruchy po wytrzeźwieniu opuszcza dom ojcowski.

Po piętnastu latach wraca z dorobkiem pieniężnym. Chciałby zamieszkać z rodzicem, lecz ten podniecany przez swego zięcia, tajemnie związanego z szynkarzem, odmawia. „Niech Cyryl rozda zyskane pieniądze, wezmę go.“ Ow rozdaje, ojciec jeszcze się opiera. Jego syn ma zacną i szlachetną żonę, prawdziwego anioła stróża i póki ona z nim, nie jest dostatecznie ukarany za dawną winę. Cyryl dochodzi do rozpaczy, i rozpija się ponownie. Maryana, chcąc go stanowczo zbliżyć do ojca i widząc w swem istnieniu przeszkodę — topi się. Hardouin i Cyryl pogodzili się, ale „ileż nieszczęścia spowodowała ta gorzałka!“

Dramat, podobny zresztą do „Pierwszego gorzelnika“ Tolstoja, razi swoją tendencyjnością, skazującą motyw, jak już tu widzimy, na przesadę. Podobna złożoność akcyi, intryga sentymentalnie krwawa objawiają się w „Morteville.“ Tu szło autorowi o przedstawienie ucywilizowania średniowiecznych, barbarzyńskich górali za pomocą choćby — miecza. Dramat ma wiele ładnych miejsc, lecz szczególne zalecanie zgodności, unikania bójek itp. nuży.

Próby tego rodzaju, chociaż nie bez zarzutów, zasługują na wyróżnienie dla swego charakteru. Nie są one zbyt odosobnione, a chociaż dużo jest w nich plew, umysł głębszy znajdzie tam i nieco ziaren.

Wyszło sprawozdanie z dorocznego posiedzenia towarzystwa hypnologiczno-psychologicznego. Niektóre komunikaty mają szersze znaczenie.

I tak Bourdon mówił o zastosowaniu poddawań w leczeniu ułomności psychicznych. Przytoczył jako przykład dziewczynkę trzynastoletnią, której rodzice zwrócili się do niego o poradę. Anemiczna, histeryczka, charakter szpetny: nieczysta, leniwa, złośnica, nieposłuszna. Poddawanie zmieniło ją do niepoznania W czterdziestu posiedzeniach lekarz, posiłkując się zarazem hygieną i lekarstwami wzmacniającemi, przekształcił ją na osobę posłuszną, miłą, spokojną i uczciwą. August Voisin zdawał sprawę z wypadku pokrewnego. Dziewczyna dotknięta histeryą, wydalona z pensyi za kłamliwość, lenistwo, samogwałt itp. Zwróciła się ona do Voisina z powodu ciągłych i ciężkich bólów głowy. Doktór użył początkowo elektryczności; nie osiągnąwszy rezultatów, uciekł się do suggestyi. Leczenie trwało pół roku, ale wyniki są bardzo zadawalające. Ataki histeryczne i inne objawy znikły, chociaż w ciągu ostatnich miesięcy ani razu już nie działano na wolę chorej. Gorodichze stosował poddawanie przeciw chorobie morskiej. Czterem osobom, podlegającym jej stale, poddał oporność. Wszystkie cztery wypadki pomyślne. Rezultat to ważny, jeśli się uwzględni prawdziwe niebezpieczeństwo, jakiem grozi choroba morska osobom cierpiącym na serce, na arteryosklerozę lub anewryzm i kobietom w poważnym stanie.

P. Valentin traktował o leczeniu neurastenii hypnotyzmem. Uważając zgodnie ze szkołą z Nancy przyzwyczajenie psychiczne za najważniejszy czynnik słabości, mógł z tem większą pewnością posługiwać się swą metodą. Przytoczył trzy wypadki uwieńczone powodzeniem. W pierwszym neurastenia po influenzy — usuwa ją kilka uśpień. Drugi — poważne zaburzenia neurasteniczne po ustaniu menstruacyi: 20 posiedzeń. Trzeci— neurastenia wnętrzności połączona z początkami zwyrodnienia umysłowego: leczenie trzy miesiące.

Demontpallier poparł wywody Valentina swojem spostrzeżeniem prawdziwie ciekawem. Pewna dama, z bogatych sfer, licząca 37 lat, została dotkniętą wskutek bardzo ciężkiego połogu osłabieniem wzroku, związanem przez specyalistów z ogólnym stanem nerwowym. Osłabienie to trwało kilka miesięcy: parę chwil czytania nużyło niewymownie oczy i zmuszało do odłożenia książki. Po drugim połogu normalnym zjawiły się napady astmy, również zależnej tylko od nerwów. Żadnego uszkodzenia płuc, ani serca. W jakiś czas po jedzeniu następuje gwałtowne bicie serca, połączone z bardzo bolesnym niepokojem. Nareszcie bezsenność i krańcowe osłabienie. Zaburzenia nerwowe przeniosły się potem głównie do żołądka i nóg. Chora chodzi z wielką trudnością i wobec tego spędza czas w łóżku lub na szezlongu. W takich warunkach udała się Paryża. Przez pięć miesięcy leczono ją na żołądek, bezkutecznie. Wezwano nareszcie Dumontpalliera. Nie znalazł u pacyentki cech histerycznych, ale za to kilka neurastenicznych: ból w karku, między łopatkami, około powiek. Opowiadając o swoich cierpieniach, pani X. wciąż nękana bezsennością, zaznaczyła, że ile razy wpatrzyła się w przedmiot błyszczący, uczuwała senność. Lekarz pochwycił to i oświadczył, że suggestya hypnotyczna ją uleczy. „Proszę jutro przyjść do mnie“ — mówił. — „Ale jakże przyjdę — spytała — kiedy nie mogę zejść ze schodów?“—Powtórzyłem swe zalecenie: „Będzie pani mogła zejść ze schodów. Wziąć dorożkę i wejść do mnie na trzecie piętro.“

Już to poddanie poskutkowało. Nazajutrz chora zapukała do drzwi lekarza. „Kazałem jej wpatrzeć się w błyszczący przedmiot i oświadczyłem, że będzie spała 10 minut, a po zbudzeniu się będzie mogła chodzić, nie dozna bólów żołądka, ani bicia serca i trwogi, w nocy sen jej potrwa 9 godzin, twardy i spokojny i wstanie rano rzeźka i chętna do walki z dolegliwościami, które szybko znikną. Kiedy usnęła, poddałem jej prawidłowość menstruacyi i prawidłowość żołądka. Nazajutrz pani X. zjawiła się znów u mnie, Była to już inna osoba. Ufała w swe siły. chodziła, jadła i trawiła. Nie miała cierpień sercowych, spała 9 godzin, oświad-

czyła, że świetnie się czuje i że wierzy w wyzdrowienie.

Przychodziła przez trzy tygodnie, od trzeciego posiedzenia zasypiała bez błyszczącego przedmiotu, było tylko siadła w moim fotelu. Stan jej poprawiał się z każdym dniem. Uważam ją teraz za wyleczoną nietylko na jakiś czas, ale na zawsze. Dałem jej do rąk broń: samopoddawanie. Wzbudzenie w chorym ufności do metody leczenia, poddanie mu chęci wyleczenia się, wszczepienie w umysł stałej myśli o tem, jest już usunięciem złego. Dodać do tego potrzeba tylko hygienę i środki pokrzepiające. Lecz w chorobie psychicznej najważniejsze: leczenie psychiczne.“

W. Bugiel.

LISTY PETERSBURSKIE.

Doktor Erlicki, privat-docent psychiatryi (starszy lekarz kliniki dla obłąkanych) w ciągu ostatnich lat miewa wykłady dla lekarzów, przybywających do Akademii medycznej. Tu dowiadują się oni corocznie o nowych pracach, nowych odkryciach, więc wracają do swych siedzib z większym zasobem oręża dla walki z dolegliwościami rodu ludzkiego.

Obecnie dr. Erlicki zamierzył swoje kliniczne lekcye psychiatryi wydać w języku rosyjskim i polskim. Po rosyjsku praca jego już wyszła od dwóch miesięcy i cieszy się, jak należało oczekiwać, wielkiem powodzeniem. Wydawnictwo polskie wzięła na siebie Kasa Mianowskiego. Psychiatrya jest jeszcze nauką bardzo nieustaloną. Dzisiejsze prawdy jutro mogą być zastąpione nowemi. Słynna teorya Lombrosa, traktująca zbrodniarzy jako zwyrodniałych, już chwieje się. Jutro może olśnić nasz wzrok inny jakiś meteor, więc książka, przynosząca dziś ostatnie słowo wiedzy, za rok, za dwa może stać się niezupełną.

Prawda, p. E. znany jest w świecie naukowym jako badacz ścisły, nielubiący jaskrawych, na pierwszy rzut oka pociągających uogólnień, natomiast trzymający się zasad stałych i niezmiennych; prawda, materyał do swych badań zebrał z wieloletniej praktyki, z kliniki i jej bogatego księgozbioru. Mimo to przewidzieć, bez wątpienia, nie mógł tego, co się stanie w przyszłości.

Mniemalibyśmy przeto, że z wydawnictwem polskiem dłużej zwlekać nie wypada, widzimy bowiem w tej zwłoce krzywdę dla lekarzy i dla światlejszego ogółu, szczególnie dla tych, co nie zadawalając się krzykliwemi nowostkami, chcą o ile można gruntowniej zbadać przedmiot.

Towarzystwo dobroczynności, nauczone doświadczeniem z przeszłego roku, wydało swój kalendarz wcześniej. Dział informacyjny tym razem świetniej się przedstawia, usterek prawie nie ma — słowem, uznać trzeba postęp niemały. W dziale literackim znajdujemy parę udatnych urywków rymowanych, niezłe obrazki (np. p. Skarabejusa i ks. Niedziałkowskiego), kilka piosnek kantyczkowych, oraz kilka morałów opartych na kazaniach z wieków średnich. Ktoś (p. Z.) w liście do Towarzystwa dobroczynności uskarża się, że w księgarniach warszawskich proszącym o ten kalendarz dają inny p. Grendyszyńskiego.

Trudno, według przysłowia: ręka rękę myje! Księgarnie są połączone wzajemnie z sobą pewnym stałym interesem i dla jakiejś tam chimery miłosierdzia nie zechcą sobie krzywdy robić, to też kalendarz p. G., pomimo rabatu, o którym p. Z, wspomina, zawsze będzie zalecany przez księgarzy. Mniemalibyśmy przeto, że zamiast walczyć, lepiej zawrzeć sojusz i zamiast dwu kalendarzy wydawać jeden.

N. B.

DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE.

Towarzystwo kredytowe m. Warszawy skończyło ćwierć wieku swego istnienia. Przez ten czas stało się ono ważnem ogniwem życia ekonomicznego, wywalczyło sobie szerokie prawo obywatelstwa i uznanie, tudzież wielki pożytek przyniosło. Mamy właśnie przed sobą „Zarys 25-letniej działalności“ tej instytucyi, skrzętnie opracowany siłami zbiorowemi (przez pp.: A. Bardzkiego, A. Czajewicza, E. Diehla, A. Makowieckiego, Z. Mirosławskiego i W. Nowakowskiego). W książce tej zamknięto całe dzieje zabiegów długoletnich i usiłowań około stworzenia, a potem rozwoju instytucyi. Zabiegi te i starania trwały bardzo długo, bo aż trzydzieści lat. Od r. 1840 do 1870 usiłowano daremnie dojść do utworzenia tego ogniska kredytu miejskiego. „Głównym powodem—twierdzi p Bardzki — była pewnego rodzaju nieufność we własne swoje siły naszego żywiołu miejskiego. Wynik to owego podrzędnego stanowiska, jakie żywioł ten w rozwoju społecznym zajmował. Utracił on świadomość swej siły i szukał oparcia po za sobą.“ Towarzystwo wywarło znaczny wpływ na pewien zakres stosunków ekonomicznych nietylko w Warszawie, lecz i innych miejscowościach. W pierwszej ćwierci wieku niniejszego miasta w Królestwie oczekiwały pomocy od państwa, później zachęcone świetnem powodzeniem Towarzystwa kredytowego *ziemskiego*, chciały się przyłączyć do niego. Kredyt rolny unikał wszakże stale wszelkiej łączności z miejskim. Owocem jednak tych zabiegów było opracowanie przez osobną delegacyę powyższej instytucyi projektu Stowarzyszenia miast Królestwa Polskiego, który w styczniu r. 1880 złożono do rozpatrzenia ministeryum skarbu i dotąd nie otrzymano odpowiedzi. Władze nie uznały za właściwe rozszerzać zakresu działań Towarzystwa kredytowego ziemskiego. W latach 1884 i 1885 Towarzystwo przemysłu i handlu na wniosek p. D. Rosenbluma, a następnie delegatów miast Piotrkowa, Suwałk, Łomży, Siedlec i Płocka poruszyło myśl zawiązania Towarzystwa kredytowego, wspólnego dla wszystkich mniejszych miast Królestwa, z których każde odrębnie nie mogłoby wypuścić znacznej ilości listów, mała zaś liczba oddziaływałaby niekorzystnie na ich kurs. I ten projekt upadł jednak, skutkiem odmowy władz. Pozwolono tworzyć ogniska odrębne i oto jest ich dziś w Królestwie pięć: w Warszawie, Łodzi, Lublinie, Kaliszu i Płocku — wszystkie na wzajemności oparte. W innych mniejszych miastach zapewne nieprędko powstaną, ze względu na niewielki zakres ich działalności. Towarzystwo kredytowe warszawskie powstało w tych czasach, gdy powszechnie mniemano, że „mury“ nie dają żadnej rękojmi bezpieczeństwa, że tylko ziemia posiada istotną wartość, bo jej nie zabierze ani wojna, ani woda, ani ogień. Wypowiedziano walkę temu uprzedzeniu i wygrano. Natychmiast po zatwierdzeniu ustawy, właściciele domów, wezwani przez dzienniki o składanie odpowiednich deklaracyj i kaucyj, w ciągu kilkunastu dni złożyli przeszło dwa razy więcej, niż wymagały przepisy i zadeklarowali przystąpić do Towarzystwa z budowlami murowanemi, ubezpieczonemi od ognia przeszło na 7½ mil. rs. Do *pierwszych władz* weszli ci wszyscy, którzy najwięcej zabiegów i sił poświęcili około stworzenia Towarzystwa. Jako dyrektorowie: Józef hr. Zamojski (powołany na prezesa), senator Longin Gudowski i mecenas Dominik Zieliński. Zastępcy pp.: Władysław Wołowski, mecenas Henryk Krajewski i Władysław Okęcki. Pierwszy komitet składali pp.: mecenas Edward Grabowski, Leopold Kronenberg, Jan Gotlib Bloch, Michał hr. Stadnicki, Aleksander Temler, mecenas Wincenty Majewski, Juliusz Wertheim i Edward Strasburgier. Na prezesa komitetu powołano Tadeusza ks. Lubomirskiego, który na tem stanowisku przetrwał całe ćwierć wieku, stale po każdej kadencyi na nowo powoływany.

Dziś Towarzystwo kredytowe m. Warszawy jest w pełni rozwoju. Powstało ono o własnych siłach, nigdy nie uciekało się do kredytu obcego i odrazu zdobyło zaufanie powszechne, o czem świadczy ten fakt, że już w pierwszym roku istnienia znaleźli się kapitaliści, którzy powierzyli tej instytucyi do zachowania własne swoje listy miejskie na sumę 150,200 rubli. Ważną rolę w utrwaleniu organizacyi gra sama ustawa, w której nie ograniczono czasu istnienia Towarzystwa, nadto zdobyło ono niczem nie krępowany samorząd w granicach swych przepisów. Stowarzyszeni wszyscy bez wyjątku o swoich losach radzić mieli, roztrząsać czynności swych władz, wybierać do nich zarządców i nadzorców, których można zmieniać w razie gdyby się okazali nieodpowiedni. Od r. 1877 istnieje przy Towarzystwie kasa przezorności i pomocy dla pracowników. Kilka cyfr da pewne pojęcie o działalności instytucyi w ciągu 25-ciu lat. Dostarczyła ona własności miejskiej 77,201,000 rs., dogodnych i w drobnych ratach spłacanych pożyczek. Rozpoczęła ona swoje czynności od udzielenia w pierwszym roku 4,133,800 rs., w 25-ym miała ich na hypotekach 53,974,500 rs., a listów w obiegu 43,592,000 rs. Pożyczki te z początku dawane na spłatę dawnych, uciążliwych długów, wkrótce przybrały charakter „wytwórczy.“ Pewność pozyskania łatwych do spłacenia i nisko oprocentowanych pożyczek, zachęciła do wznoszenia nowych domów. Towarzystwo stało się silnym bodźcem rozwoju ruchu budowlanego w mieście. Ale po za granicami wpływu tego ogniska pozostały dwa wielce niepożądane dla ludności zjawiska: spekulacya budowlana i niczem nieusprawiedliwione zdzierstwo właścicieli domów.

PAMIĘTNIK.

Pace i pałace.

Cóż z tego, że „odkrywamy“ rozmaite „tajemnice“ sztuki szybkiego robienia z jednego rubla dwóch albo stu, naturalnie zawsze kosztem ludzi ubogich i pracujących, kiedy te odkrycia nie prowadzą do żadnego skutku praktycznego! Budowniczy Goldberg znowu odkrył (w *Kuryerze warsz.*) „tajemnice ruchu budowlanego w Warszawie.“ Cała epopeja szachrajstwa! Technik jest parawanem dla władzy, właściwie zaś całą budowę prowadzi chałatowy faktor, zwany rządcą, który umawia się z rzemieślnikami i wydaje im rozporządzenia, zmierzające ku wytworzeniu fuszerki, ozdobionej pozorami sumienności. Przytem wyzyskany jest mularz, wyzyskany cieśla, wyzyskany stolarz, a ostatecznie wyzyskany lokator, który za drogie pieniądze musi mieszkać w tandecie, nie mając nawet tej pewności, że ona się nie zawali. „Czas już położyć koniec takim nienormalnym stosunkom“— woła p. Goldberg. O, bardzo wielki czas, ale jak ten „koniec położyć“? Według autora, „spe-

kulanci i właściciele domów powinni przyjść do przekonania, że przy budowie pierwszą osobą jest budowniczy, że praca jego powinna być uszanowana, a wskazówki jego najsumienniej spełniane" itd. Rada, czy też życzenie bardzo słuszne, ale niestety zbyt blizko spokrewnione z głosami wołających na puszczy. Ci bowiem właściciele domów, którzy ze względów interesu i sumienia chcą mieć budowle dobre, sami „przyszli do tego przekonania," a ci, którzy chcą wznosić tandetę, nie przyjdą do niego nawet po tysiącu wystrzałach ku nim z jakiejkolwiek gazety. Tu musi do obrony społeczeństwa wystąpić prawo i współdziałająca z niem interwencya ludzi rozumnych i uczciwych, z zawodu swego powołanych do tej roli. Otóż nasuwa się pytanie, dlaczego owe „pierwsze osoby," budowniczowie, pod których imieniem właściwie dokonywają się te nadużycia, nie położą mu tamy? „Cały zastęp majstrów i majsterków, dostawców i wytwórców — odpowiada p. Goldberg — zwróci się przeciwko śmiałkowi, obrzuci go całym arsenałem zmyślonych kalumnij, aby tylko go zdyskredytować; chodzi bowiem o to, żeby taki budowniczy miał możliwie najmniej wpływu, a majster i dostawca mógł proceder swój prowadzić bez kontroli i niebezpieczeństwa z wielkimi zyskami." Niewątpliwie, ale coby się stało, gdyby wszyscy budowniczowie okazali taką „śmiałość"? Prawdopodobnie pokonaliby spekulantów. Ale oni tego nie uczynią z obawy utraty zarobku, zwłaszcza że z pewnością znaleźliby się między nimi tacy, którzyby odmówili solidarności i skorzystali na oporze innych. A zatem w liczbie czynników, składających się na fuszerkę domów, działa i ten, który ma być jej przeciwnikiem — budowniczowie. Sprawa więc przedstawia się tak: spekulanci, majstrowie, dostawcy, oszukują w budowie dla zysku, architekci zaś patrzą przez szpary na to oszustwo również dla zysku. Czyli — wart Pac pałaca, a pałac Paca. Naturalnie słaba siła naszych narzekań nie przełamie takiej mocnej obręczy interesów, dopóki nie weźmie jej w swe ręce prawo i dopóki budowniczowie nie połączą się do walczenia z niecną spekulacyą. Artykuły dziennikarskie poprawią tylko jej... humor.

Wpływ bicykla.

Gazeta polska donosi, że pisarz amerykański, Bishop, ogłosił pracę (pod tytułem?), w której wykazuje doniosłe skutki olbrzymiego rozpowszechnienia się bicykla (350 fabryk w Birminghamie i Coventry wypuściło w ciągu roku bieżącego 750,000 maszyn). Według opinii kupców, najwięcej ucierpiał na tem handel powozami, końmi, klejnotami i... muzyka. Zmniejszenie się zapotrzebowania koni i powozów jest zrozumiałe, ale jaki związek mają z bicyklem klejnoty, a nadewszystko muzyka? Autor tłomaczy to dziwne zjawisko tem, że pieniądze, które dawniej wydawano na kosztowne zegarki i świecidła, teraz obracane są na rowery i że młodzież angielska, mając do wyboru dwie sztuki, przeniosła jazdę nad męczenie fortepianu. Zaiste, niech będzie błogosławiona ta młodzież angielska i bodajby znalazła najszersze naśladownictwo u nas. Z dwojga bowiem... dobrego wolimy przecie, ażeby nasz sąsiad a zwłaszcza sąsiadka jeździła sobie na rowerze, niż żeby po kilka godzin dziennie kosztem naszych nieszczęśliwych uszu wydobywała ze swych palców lub — co gorsza — ze swego gardziołka to, czego w nich nie ma. Od tylu lat udręczona ludzkość daremnie rozmyśla nad wynalezieniem środka, któryby powstrzymał pozbawione talentu dzieci Apollina od torturowania siebie i bliźnich — i oto przychodzi ratunek z tej strony, z której go najmniej się spodziewano. Bicykl wypiera nieustające ćwiczenia muzyczno-wokalne, dzięki jemu będziemy teraz mogli spokojnie pracować w dzień i spać w nocy, pracowite panienki nie będą już od rana wygrywały gam i walców — co za błoga przyszłość! Doprawdy, gdyby nieoszacowana maszyna nie sprowadziła żadnego innego skutku, tylko ten jeden, już możnaby ją uznać za prawdziwe dobrodziejstwo. Jeżeli na świeżo rozesłane wezwanie warszawskiego *Cyklisty*, żądającego opinii o tym sporcie, nie mieliśmy odpowiedzi, to teraz przesyłamy mu ją z całą skwapliwością:

„Według nas, bicykl jest jednym z najszlachetniejszych wynalazków świata, gdyż on dopiero Kainów muzyki zamienił na Ablów.

„Mazurzysta."

Przed kilku dniami zmarł w Warszawie jeden z najpopularniejszych jej synów. Zważywszy, jak olbrzymi udział w życiu naszem przyjmuje zabawa, zwłaszcza taneczna, zważywszy dalej, że od lat trzydziestu nie odbył się z pewnością w kraju naszym ani jeden prywatny lub publiczny bal, na którymby nie grano i nie tańczono polek a szczególnie mazurów Lewandowskiego; pamiętając, że on przez cały ten okres czasu przewodził orkiestrze Teatru Rozmaitości i części jej wynajmował na wieczory karnawałowe, przyznać trzeba, że nie zszedł ze świata bez wpływu i bez sławy. Miliony tańczące winny mu więcej, niż któremukolwiek innemu z kompozytorów polskich i niewątpliwie zachowają dla niego długo wdzięczną pamięć. A co o nieboszczyku mówi sztuka? Nie podziwia ona w nim artyzmu formy, która w jego utworach była bardzo prostą, niemal samorodną, ale nie może mu odmówić dużego bogactwa pomysłów w dziedzinie muzyki tanecznej. Jego mazury są oryginalne, swojskie, śpiewne, często rubaszne, ale ochocze i zamaszyste, wprawiające w ruch nogi z nadzwyczajną energią. Jeżeli Chopin z motywów tego rodzaju stworzył melodye dla Olimpu, Moniuszko — dla salonu, Lewandowski przykroił je dla mieszczańsko-ludowej resursy. Nawet tytuły jego mazurów, ochrzczonych wyrażeniami i nazwami ludowemi, wskazywały, że on o żadnej wytworności nie myślał.

Jubilaci.

W ostatnich tygodniach warszawski świat obrończy uczcił obchodami pamiątkowymi pięćdziesięciolecie pracy dwu adwokatów: S. Zalewskiego i Józefa Karpińskiego. Tytuły zasługi pierwszego mieszczą się głównie w jego działalności praktycznej i wartości moralnej, drugi zbogacił nadto literaturę prawniczą jako wydawca „Jurisprudencyi sądów miejscowych w zakresie prawa cywilnego" oraz „Pytań prawnych." Chociaż pierwszy z nich był znakomitym adwokatem, a drugi bardzo cenionym badaczem, wszakże nie pomylimy się zapewne, twierdząc, że główną pobudką do uczczenia obu był ich godny odznaczenia charakter. Jest to wymowna wskazówka dla młodszych pokoleń palestry naszej. Gdy one dojdą do okresu pięćdziesięcioletnich jubileuszów, czy będą miały *stosunkowo* tylu, co ich poprzednicy, ludzi zasłużonych nauce i... miłych etyce? Bodajby. Szczerze życzymy adwokaturze naszej, ażeby nie puszczała odłogiem wiedzy prawniczej i nie lekceważyła swych obowiązków moralnych i społecznych.

Logika i rzeczywistość.

Jeszcze niedawno wyobrażałem sobie, że najbezpieczniej jeździć, czy to na wodzie, czy na lądzie, świeżo po katastrofie, gdyż wtedy jest wzmocniona czujność, ostrożność i zastosowane najenergiczniejsze środki zapobiegawcze. Dzięki takiemu mniemaniu, po rozbiciu się dwu parowców przebyłem najspokojniej drogę morską, uważaną za najniebezpieczniejszą z powodu niedbalstwa i, podobno, nietrzeźwości kapitanów. Również spokojnie spałem w wagonie kolei Terespolskiej w kilka dni po katastrofie pod Chotyłowem. Obecnie rzeczywistość każe mi zmienić to rozumowanie, podyktowane przez siłę logiki. Katastrofy kolejowe stały się w ostatnich czasach wprost epidemiczne bo oto po czterech poprzednich mamy znowu dwie: na linii Bałaszowskiej spotkał się pociąg osobowy z towarowym, podobno skutkiem złego nastawienia zwrotnicy; w ubiegłym zaś tygodniu na kolei Terespolskiej w pobliżu Warszawy, skutkiem złego nastawienia zwrotnicy pociąg towarowy wszedł na tor bez szyn. Pierwszy parowóz zarył się w ziemię, drugi stoczył się do rowu i pociągnął 10 wagonów. Maszynista ma obie nogi zmiażdżone, jego pomocnik ciężko pokaleczony. Tak więc od 10 do 22-go listopada, tj. w ciągu *dwunastu* dni, zdarzyło się *sześć* katastrof kolejowych, przy czem uległo rozbiciu lub uszkodzeniu *dziesięć* pociągów towarowych i osobowych, tudzież kilka wagonów luzem stojących; znalazło śmierć kilkanaście osób (ze zmarłymi w szpitalach), parę dostało pomieszania zmysłów, kilkanaście pozostało z kalectwem na zawsze, kilkadziesiąt otrzymało mniej lub więcej silne rany. W obu najświeższych wypadkach podano „winę" zwrotniczych. Już przed dwoma tygodniami (art. „Koleje przed sądem") wymieniliśmy istotną przyczynę tego rodzaju wypadków. Obecnie zdanie nasze potwierdza i prasa rosyjska, np. *Peterb. Gaz.* utrzymuje, iż rzeczywistym powodem rozbicia pociągów na kolei Petersburskiej i dawniej na wielu innych jest „pożałowania godna oszczędność dróg, które opłacając drobnemi sumkami pracę niższych oficyalistów i urzędników, jeszcze zmniejszają do minimum ich personel. O tem sknerstwie pisano już nieraz, lecz zawsze bez rezultatu. Przeciwnie — oszczędność względem drobnych oficyalistów przyjęto niemal za zasadę. Służba na każdej stacyi tyle ma pracy i obowiązków, że jest wprost dziwnem, dlaczego nieszczęścia nie zdarzają się częściej..." W sześciu wypadkach najświeższych znane nam są cztery przyczyny: w jednym — mylny sygnał telegraficzny, w trzech — złe nastawienie zwrotnicy, a więc wina ludzi, którzy najbardziej są narażeni na długie czuwanie natężone. Wynikiem zaś takiego przeciążenia bywa bezwiedne, machinalne wykonywanie czynności. Dodajmy jeszcze, że najczęściej wypadki zdarzają się świeżo po zmianie rozkładu jazdy. Znużeni ludzie (jak np. zwrotniczowie) mogą wykonywać swoje czynności przez pewien czas automatycznie według zwyczaju, do którego się wdrożyli przez pół roku. Teraz zsumujmy straty przedsiębiorstw kolejowych. Według urzędowych rzeczoznawców, kolej Warszawsko-Petersburska traci pół miliona rubli w rozbitych wagonach i parowozach, zniszczonym towarze, zepsutym torze i odszkodowaniach wypłaconych podróżnym. Licząc skromnie, możemy przypuścić, że pięć następnych wypadków wyrządziło czterem innym kolejom również pół miliona straty, a więc źle zrozumiana oszczędność pochłonęła w ciągu dwunastu dni milion rubli, tj. sumę, z której procentów można byłoby utrzymać dodatkową liczbę niezbędnych pracowników.

Logika ustąpiła wobec rzeczywistości, a społeczeństwo w imię bezpieczeństwa swego protestuje przeciw takim porządkom, niedbalstwu i sknerstwu przedsiębiorstw kolejowych, a protestuje zgodnie, bo tu są zagrożone wszystkie stany: i hojnie uposażone, i mniej lub więcej upośledzone.

Teorya a praktyka.

Zwiększony ruch kołowy w Warszawie wywołał liczne wypadki z ludźmi, a więc i surowe rozporządzenia władzy policyjnej. Dbając o życie i zdrowie mieszkańców, wydała ona przepisy, regulujące ten ruch olbrzymi, który dorównywa zagranicznemu w wielkich miastach europejskich. Nadać karność tysiącom woźniców, stangretów i dorożkarzów, uszeregować odpowiednio wszystkie fury i powozy, jest to zadanie niezmiernie trudne i według wskazówek teoretycznych częstokroć niemożliwe w praktyce. To też surowe najświeższe rozporządzenia wywołały inne wyniki, niż się spodziewano. Kuryery: *Codzienny* i *Warszawski* podały fakty ujemnego wpływu swych przepisów na stosunki handlowe i niezbite potrzeby ludności naszego miasta. Węglarze zrzekli się odpowiedzialności za terminową dostawę paliwa, bo oto jak się tłomaczy jeden przedsiębiorca przed swym spożywcą: „Dopóki kwestya ruchu na ulicach nie będzie uregulowaną, żadną miarą ręczyć nie mogę za punktualność w wykonaniu zamówień. Z wozów kradną węgiel, bo furman musi iść pieszo z drugiej strony. Jeden nie widząc co się dzieje, zawadził o tramwaj, więc pociągnięto go do odpowiedzialności. Nietylko ja zresztą jestem w tem położeniu. Tak samo za dostawę odpowiadać nie może: piekarz, piwowar, składnik lodu, dostawca nafty, mleka itd.“ *Kuryer warsz.* pisze: „Źródła najzupełniej wiarogodne wykazały nam fakty następujące: dorożkarz, zamówiony na kolej, nie przyjechał o godzinie oznaczonej skutkiem czego podróżny spóźnił się na pociąg, ponieważ *pustej* dorożki w śródmieście puście nie chciano; 2) kilka sklepików spożywczych w dzielnicy nalewkowskiej podniosło cenę chleba o ½ kop. na funcie, tłomacząc się trudnościami w otrzymaniu tego artykułu żywności; 3) furman zajęty do przewożenia mebli z mieszkania do mieszkania, żądał o dwa ruble więcej, niż zwykle, tłomacząc się, iż prawdopodobnie dzień cały na przeprowadzce strawi, nie wie bowiem, jak i kiedy kołować mu przyjdzie, zanim dojedzie do celu; 4) furgon cukiernika, napełniony pustemi pudełkami (waga ogólna 4 pudy), zatrzymywany był *szesnaście* razy w ciągu jednego kursu.“ Dodajmy do tego jeszcze następujące wyniki: Włościanie okoliczni, główni dostarczyciele najniezbędniejszych, codziennych artykułów żywności, nie chcą już przyjeżdżać do miasta, bo, jak zapewniają, wobec wielkich trudności i straty czasu handel ten wcale już nie będzie się im opłacał. Dawniej zyskiwali na czasie, mając krótszą drogę przez most koło zamku, przyczem mogli, siedząc na furze, nieco prędzej jechać. Dziś muszą odbywać długą, uciążliwą podróż z licznemi, nieprzewidzianemi przeszkodami przez most koło cytadeli; skierowywani odległymi zaułkami, idą pieszo od samej Pragi tam i z powrotem — wiorst kilkaście. Tak więc zarówno włościanie jak i mieszkańcy miasta ponieśliby znaczne straty, pierwsi skutkiem zaniechania dostawy, drudzy — z braku niezbędnych produktów spożywczych, których cena już dziś wzrastać zaczyna. Na szczęście jest wszelkie prawdopodobieństwo, że rozporządzenia, podyktowane przez najlepsze chęci, będą zmienione z pożytkiem dla interesów ludności. To krótkie, choć niepomyślne doświadczenie, nie będzie bez korzyści, da bowiem nowe wskazówki, jak postępować należy w regulowaniu ruchu. Na uwagę zasługuje następujące trafne spostrzeżenie *Kuryera warsz.*: „Wozy ładowne rzadko jeżdżą szybko po ulicach miasta. Pędzą za to „po kawalersku“ panowie w amerykanach i „te“ damy w powozach lub dorożkach na gumach. Najpilniejszą z potrzeb jest uregulowanie jazdy tych, którzy *nie jeżdżą* wozami; amerykany bowiem, pędzące na oślep, oraz dorożki na gumach, wiozące „te“ damy, najpoważniejsze dla ruchu pieszego przedstawiają niebezpieczeństwo.“

BADANIA NAUKOWE.

RODOWÓD BAJEK*).

Bardzo wdzięczny upominek otrzymała nasza dziatwa. Są to dwa tomy bajek domowych i dziecinnych, zebranych przez braci Grimmów. Wydawnictwo to wytwornym przekładem, dokonanym przez p. Ż. Kowerską, wyróżnia się bardzo dodatnio z pośród spolszczonej tandety zagranicznej, którą właściwie trzebaby było jeszcze raz tłómaczyć z wydanego już tłómaczenia. Korzystając ze sposobności, pragnęlibyśmy powiedzieć słów kilka o rodowodzie zgromadzonych tam tworów fantazyi ludowej. Rzecz to poniekąd bardzo trudna, bo początki giną w pomroce wieków. Etnografia porównawcza jednak, zbierając przyczynki do charakterystyki umysłowości pierwotnej i badając zwyczaje ludów dzikich, pozwala rzucić pewne światło na tę kwestyę. W obecnej chwili jeszcze niepodobna dokonać tego zadania w całej jego rozciągłości, a nawet podjąć go w takim zakresie, ażeby wydostać z mroków dziejowych chociażby pochodzenie ważniejszych wątków. Bajki przedstawiają pasmo nici tak splątanych nawzajem i powikłanych, że zaledwie możemy wyciągnąć którąś pojedyńczą, i to nie zawsze jeszcze całą.

Epoka po epoce dorzucała tam coś do tego skarbca twórczości wieśniaczej. Formacya dzisiejsza powstała właśnie z nagromadzenia i zrośnięcia takich spuścizn. Każdy okres dziejowy przyjmował spadek po poprzedniku swoim i przeinaczał go, obcinał lub rozszerzał odpowiednio do widnokręgów otoczenia i wzorów życia.

Już najniższe szczeble kultury, jakie znamy dziś na globie, posiadają zasób bajek. Co więcej, jest to może epoka największego ich rozkwitu. Wśród naszej cywilizacyi jedynie dzieci okazują tę chciwość, z jaką dziki przysłuchuje się opowiadaniom przy ognisku obozowem — opowiadaniom, o których prawdziwości powątpiewa, ale które go zachwycają, łechcą jego nieokrzesaną ciekawość i wywołują w nim dreszcz nerwowy. Im Thurn w dziele o Indyanach Gwiany przedstawia charakterystyczny obraz życia ludów tamtejszych, z którego możemy powziąć pojęcie o znaczeniu bajek. Mężczyźni spędzają większą część dnia, leżąc na hamakach i zajmując się wyrobem strzał lub przyozdabianiem oręża, niekiedy śpią, najczęściej zaś opowiadają bajki. Wieczorem dołączają się do nich kobiety. Rozpoczyna się parogodzinne opowiadanie „historyj,“ urozmaicone niekiedy monotonnie brzmiącym śpiewem. Zasypiają wszyscy późno w nocy. Ale Indyanie śpią jak psy — mówi autor, z którego czerpiemy— tj. krótko. Przebudzają się parę razy podczas nocy, kobiety schodzą podłożyć drew do ognia, psy zaczynają szczekać, dzieci wrzeszczeć. Wrzawa zrywa wszystkich na nogi, mężczyźni powracają do przerwanych wątków i bajka po bajce skraca im wczasy nocne, póki ten i ów nie uśnie podczas opowiadania.

Dotychczas nie znamy ani jednej pracy, którąby zajęła się porównawczem opracowaniem powieści dzikich, co jest zresztą rzeczą zgoła zrozumiałą wobec tego, iż nawet nie ma porządnych zbiorów takich bajek, gdzie przedewszystkiem odróżnionoby należycie, co zdaniem człowieka pierwotnego jest tylko pospolitą gadką, co zaś mitem lub oddaniem zdarzenia, uchodzącego za rzeczywiste. I tam już fantazya, odrywająca się od doczesności codziennej, działa w sposób sobie właściwy. Może odgrywa ona nawet znaczniejszą rolę, niż za dni naszych. Ale jak w bajkach inteligencyi nowoczesnej—powieściach i romansach — pomimo całej wyobraźni pisarzów tylko postacie i zdarzenia są zmyślone, ale nie stosunki i zwyczaje, psychika i pragnienia, tak samo w gadkach człowieka pierwotnego robota twórcza i polot wyobraźni trzymają się ziemi. Badając bajki dzikie z takiego punktu, można byłoby w nich oddzielić wątki, przeniewierzające się istniejącym tam warunkom bytu i tem samem cofające nas jeszcze do pierwotniejszej epoki. Zresztą na razie nie chodzi nam o to, co może dać zasób opowiadań z tego okresu w ręku umiejętnego badacza. Chcielibyśmy tylko zaznaczyć, że rozporządzamy lub rozporządzać możemy materyałem, pochodzącym z najniższych szczebli kultury jeszcze istniejących i że porównywając go z zasobem, właściwym naszemu narodowi, odrazu bylibyśmy w stanie wyodrębnić przyczynki epok późniejszych i jednocześnie zbadać, jak w ciągu wieków przekształcała się szata pierwotna.

Junacy zamieniają się na królewiczów, znachorzy i szamani na dyabłów, cioty na baby-jędze, talizmany, jakimi posługuje się czarodziej, na buty samochody lub kije samobije. Pojęcia, których używał dziki w zupełnem zrozumieniu ich roli i wartości, dostawszy się w ręce potomków, przybierają potworne lub cudackie kształty: pewna cząstka przesądu rośnie, druga maleje, wszystkie zaś przywdziewają szaty coraz fantastyczniejsze i nieprawdopodobniejsze. Każdy zaś wiek, dostawszy tak zmieniony dobytek, prowadzi dalej dzieło przeinaczenia i zagłady jednocześnie...

Rzecz charakterystyczniejsza jeszcze, że rozpatrując się w bajkach z okresu cywilizacyjnego, w liczbie istniejących tam cegiełek spostrzegamy różne strony życia dzikiego. Są to wierzenia i zwyczaje Australczyków i Czerwonoskórych, przerobione na gadkę. Na każdej stronicy niemal widzimy tam takie szczegóły, często w formie bardzo mało nawet zmienionej, jeszcze częściej zaś przyozdobionej i przekształconej fantastycznie, które wykazują takie pochodzenie. Gadkę taką moglibyśmy opowiedzieć dzikiemu, i on wziąłby ją za rzeczywistość, nieco kłamliwie i przesadnie przedstawioną. Na szczeblu umysłowości australskiej należałaby ona jeszcze do wątków, które tylko w szczegółach są kłamliwe. Opowieść taka, przekazywana z pokolenia na pokolenie, dostała się do epoki, w której zapanowały inne wyobrażenia, i tam spadła bardzo nisko, do rzędu pospolitych gadek.

Ażeby poprzeć nasze wywody, zatrzymamy się nad pewną grupą przesądów pierwotnych, które albo całkowicie weszły w skład naszych gadek, albo nadały im koloryt.

Człowiek dziki i nawet jeszcze barbarzyńca niższego okresu wierzy, że zwierzęta odznaczają się większą znajomością tajników przyrody, aniżeli istota ludzka. Usilują więc zaskarbić sobie względy pewnego zwierzęcia, które w życiu pierwotnem spełnia względem plemieńców to samo zadanie, co u nas anioł-stróż. U czerwonoskórych chłopiec 14-letni opuszcza namiot rodziców i udaje się na kilka dni i więcej do ustronia na modlitwę i post. Gdy podczas snu ukaże mu się pewne zwierzę, jest to oznaką, że stworzenie to

*) Z powodu dziełka braci Grimmów: *Bajki domowe i dziecinne*, tom XIV i XV Biblioteki *Wisły*.

będzie opiekowało się nim w ciągu życia. Ocknąwszy się chłopiec wraca do rodziców i zawiadamia ich o pozyskaniu stróża, poczem udaje się na polowanie, ażeby zabić okaz odpowiedniego gatunku. Skórę wyprawioną zwierzęcia lub jego rogi, pazury, ogon, wogóle jakąkolwiek część nosi on odtąd ze sobą jako talizman, który w każdej chwili winien dać mu środki przywołania na pomoc zwierzęcia, przez same losy wskazanego na doradcę. I opieka ta bynajmniej nie jest tylko pozorna, polegająca na golej wierze. Człowiek pierwotny przytoczyć może namacalne przykłady, jak obrane stworzenie śpieszyło z radą swoją i usługami w potrzebie, a chociaż my nie przyznamy za prawdziwe przytaczanych dowodów, przecież Czerwonoskóry święcie wierzy w ich rzetelność. Pewien Modojanin opowiadał o matce swojej, którą ugryzł razu jednego wąż barwy miedzianej. Jej geniuszem opiekuńczym był inny gatunek płazu, wąż czarny. Ten ostatni odwiedził ofiarę natychmiast po nieszczęśliwem zdarzeniu, bo „nietylko wiedział już o wypadku, ale także o tem, kto był sprawcą.“ Kobieta śpiewała od rana do południa zaklęcia, płaz zaś udał się do węża miedzianego dowiedzieć się o przyczynie napaści. Powrócił nad wieczorem, gdy Modojanka znowu rozpoczęła swoje kantyczki i zawiadomił ją, iż wróg jej nie odznacza się zaciętością. Wpadła ona wtedy w pewien stan szczególny i otrzymała podczas wizyi wskazówki, jakie lekarstwo najskuteczniej zapobiegnie fatalnym następstwom zadanej trucizny.

Pewyższe wierzenia, zniewalające każdego plemieńca z okresu dzikości do posiadania opiekuna-zwierzęcia, powtarzają się w bajkach w najrozmaitszych odmianach. Królewicz np. udaje się po ptaka złocistego. Najmłodszy po drodze zawarł przyjaźń z lisem, który odwzajemniając się, daje mu mądre rady, kieruje jego postępkami i wybawia go z przygód i nieszczęść. Zamiast lisa będzie to niekiedy wilk lub rumak, to znowu kaczki i mrówki; zamiast wykradania ptaka złocistego trzeba będzie wydostać z wody pierścień złoty lub dokonać innego czynu. Ale zawsze i wszędzie zjawia się z pomocą stróż-zwierzę. W odpowiednim cyklu opowieści ludowych mamy wciąż do czynienia z wątkami, które są tylko fantastycznem urozmaiceniem, uskutecznionem na podłożu zwyczajów, stanowiących ongi istotną cząstkę życia codziennego. Tylko że prosty junak zamienił się na krawca lub królewicza albo żołnierza, zwykłe polowanie przybrało charakter wyprawy po ogiera złotogrzywego, zwierzę-opiekun nie miało przymiotów tak cudownych. Kiedy bajka bowiem, to już bajka! Fantazya, niczem niepowstrzymana, przerabia, rozdymа i upiększa wątek pierwotny.

W parze z powyżej rozebranemi wierzeniami idą jeszcze inne. Frazer robi przypuszczenia, że człowiek pierwotny w zwierzęciu opiekuńczem wprost umieszcza na schronienie duszę swoją, mniemając, że zabezpieczy ją przez to od wszelkich przypadków. Wniosek badacza angielskiego wydaje mi się zanadto mało uzasadnionym. Przynajmniej nie znam faktów bezpośrednich, wyraźnych, któreby poparły to przypuszczenie. Ale bądź co bądź, istnieją przesądy, świadczące, że człowiek pierwotny wiąże życie swoje z życiem pewnego zwierzęcia lub rośliny. Kurnaje np. mniemają, że ptak mysi królik przedstawia życie mężczyzny, inny zaś gatunek — kobiety i że zabicie choćby jednego okazu przyprawi kogoś z plemieńców o śmierć. Przesąd ten istnieje pod nieco odmienną formą w całej Europie — w zwyczaju sadzenia drzewek z urodzeniem się komuś potomka. Uschnięcie drzewa wróży dziecku nieszczęście, a nawet śmierć. I lud nasz posiada przeżytki, pochodzące z tego źródła. Bzu, jeśli rośnie w ogrodzie, nie wolno wykopywać ani wycinać bez narażenia rodziny, do której krzak należy, na wielkie dolegliwości, nieszczęścia i śmierć. Również boże drzewko, raz zasadzone w ogrodzie, powinno być troskliwie pielęgnowane przez dziewczęta domowe, albowiem gdy skutkiem zaniedbania uschnie wśród lata, wróży to śmierć komuś z domowników.

Przyjrzyjmy się teraz, jak znowu ten pogląd umysłowości pierwotnej powtarza się w bajkach. W zbiorze Grimmów jest gadka o udaniu się dwóch braci na wyprawę niebezpieczną. Odjeżdżając, zostawiają oni w domu dwie złote lilie, po których ojciec mógłby poznać, co dzieje się z synami. „Jeżeli będą świeże, to znaczy, że żyjemy; jeżeli zwiędną — że chorujemy, a jeżeli upadną — że nie żyjemy!“ W bajce tej wzięto przesąd istniejący i jedynie roślinom nadano szatę fantastyczną — lilij złotych.

Inna gadka w wymienionym zbiorze całkowicie jest tylko odmianą rozpatrywanego wierzenia.

Było dziecko maleńkie. Matka dawała mu na podwieczorek miseczkę mleka z bułką i sadzała je przed domem. Gdy dziecko zaczynało jeść, ropucha wyłaziła ze szczeliny w murze, wsadzała główkę do mleka i piła. Razu jednego matka usłyszała, że dziecko z kimś rozmawia. Wyjrzała, a zobaczywszy ropuchę, zabiła ją polanem. Od tego czasu zaszła zmiana z dzieckiem. Dopóki ropucha z niem jadała, rosło i wyglądało doskonale. Teraz straciło rumieńce i mizerniało w oczach. Niedługo potem dziecko leżało już w trumience.

Powyższe przykłady świadczą, że w bajkach zawarto wątki życia rzeczywistego, tj. zwyczajów, które niegdyś istniały faktycznie, i przesądów, które wszechwładnie panowały ongi nad umysłami. Moglibyśmy wskazać jeszcze kilka grup takich, jak powyższa, na pierwszem zaś miejscu podania o królewnach, na które rzucono urok, tak iż muszą pokutować w skórze zwierzęcej, póki nie nadejdzie wybawiciel. Pomysły te wiążą się jak najściślej z wierzeniami i legendami totemizmu, i tylko zaakcentowanie uroku jest dziełem czasów względnie późniejszych. Epoka dzikości jeszcze częściej odzywa się w bajkach, zawarta w pojedyńczych szczegółach i ustępach. Atoli wykazując taki rodowód pomysłów gadkowych, bynajmniej nie chcielibyśmy twierdzić, że ostatecznie rozstrzygnęliśmy sprawę pochodzenia bajek. Dobrze wiemy, że byt pierwotny ze swymi przesądami i zwyczajami daje nam klucz do otworzenia tylko niektórych części świata fantastycznego, jaki roztaczają przed nami bajki. Humor ludu złożył tam swoje płody satyryczne, a zdarzenia historyczne dorzuciły może coś do skarbca wątków, jeszcze inne źródła dostarczyły materyału. Ale w każdym razie mniemamy, że właśnie studya nad okresem dzikości i barbarzyństwa najwięcej mogą przyczynić się do rozplątania powikłanego pasma pomysłów, jak to świetnie wykazała praca Hartlanda. *L. K.*

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA ANGIELSKA.

Tomasz Hardy.



Tomasz Hardy posiada talent nader złożony i rozmaity. Jego rysem najbardziej charakterystycznym jest zdolność pisania sielanki, prawdziwej klasycznej sielanki w duchu Teokryta. Wyobraźnia jego lubi wdzięk i prostotę: znajdujemy je zawsze, czy to w opisach krajobrazów o barwnym kolorycie, czy w scenach zalotów parobczaków do dziewcząt wiejskich, czy w resztkach mitologii ludowej, którą starannie wskrzesza, czy nareszcie, gdy wzbudza naszą sympatyę ku rzeczom starym i niepotrzebnym. To jest rysem, jak rzekliśmy, najbardziej charakterystycznym, gdyż pod innymi względami zbliża się do swych współbraci. Narówni z Meredithem i Sherardem jest moralistą, tylko o indywidualizmie jeszcze bardziej zaakcentowanym: we wszystkich zatargach pomiędzy jednostką a społeczeństwem Hardy staje po stronie pierwszej, broniąc jej interesów. Nie wszystko, co się dzieje w imieniu dobra społecznego, jest dobrem: bardzo często na ołtarzu przesądów składamy ofiary z najlepszych, najzdolniejszych jednostek — i mamy czyste sumienie, pewność spełnionego obowiązku. W takich wypadkach Hardy jest nieubłagany. Jego satyra nie uznaje wówczas nic świętego: w odwadze przeczenia zachodzi on bez porównania dalej, niż ktokolwiek inny z współczesnych pisarzy angielskich. Czyż nie jest rzeczą naturalną, iż w miarę tego, jak człowiek wyrzeka się religii, coraz namiętniej się chwyta za etykę? Wszystkie systemy filozoficzne, poczynając od Kanta, starają się o to, aby ich błędne ścieżyny, drogą chociażby najdowolniejszych zygzaków i kołowań, wyszły wreszcie na wielki gościniec moralności. To powiedzieć można nietylko o filozofach, ale i o powieściopisarzach wolnomyślnych. Taki np. Meredith lub Sherard, pomimo całej swej śmiałości, starają się przyczepić swe łódeczki do wielkiego okrętu społecznego. Tylko jeden Hardy o to niedba — i dlatego wywołał rozjątrzenie i gniew powszechny. Dodajmy nareszcie, iż jego realizm niema nic wspólnego z literalnością Zoli, jest to raczej poetyzacya rzeczywistości: i w tym kierunku Hardy zaszedł znacznie dalej, niż wielcy jego współzawodnicy. We wszystkich tych sprawach dotrzymuje im kroku, a nawet, być może, wyprzedza. Ustępuje im jednak stanowczo w kompozycyi i w sztuce pięknego pisania. Powiedzmy otwarcie: Hardy bywa często nudny. Najdrobniejsza rzecz rozciągnięta jest natychmiast na trzy tomy. Stąd gadulstwo niepowstrzymane. Zastanowimy się tu nad kilkoma powieściami tego autora, które w najmniejszym stopniu tę wadę posiadają. Miejscowość, gdzie on najchętniej akcyę rozsnuwa, to ojczysta jego prowincya, Wessex. Jak tylko wychodzi za jej granice, czuje się nie swój. I na tem polu więc zauważyć się daje już pewna specyalizacya: Halle Caine opisuje tylko Isle of Man, Hardy — Wessex. A i w Wessexie najlepiej mu się udają sceny na południu, w Dartshire, bogatym w stare, rzymskie i przedhistoryczne budowle, natomiast w północnym Berkshirze charakter poetyczny całkiem się zatracił, a z wdzięku pasterskiego nie zostało ani śladu. Hardy niechętnie tam zagląda. Wogóle opis wsi w Anglii jest rzeczą nadzwyczaj trudną i niewdzięczną. Strona malownicza coraz bardziej zanika a brzydota miast się wkrada. Z ubiorów miejscowych nic się nie uchroniło: chłopi mają minę robotników źle odzianych. Natura utraciła swą pierwotność, jest ucywilizowana, pokryta bliznami szyn kolejowych, oszpecona kominami i dymem fabryk. Z drobnych posiadłości, które pozwalają prowadzić kulturę tak urozmaiconą, nie pozostało ani śladu. Religia nie ma tu żadnych form, ani objawów zewnętrznych, a niedziela jest dniem najbardziej ponurym w tygodniu. Nareszcie i lud sam jest prozaiczny i praktyczny, stare zwyczaje i przesądy pierzchły. Tamtejsze chłopki — to panny w gorsetach i rę-

kawiczkach, a parobczaki czytają często traktaty filozoficzne. W tak niewdzięcznych warunkach Hardy skrzętnie wyszukuje wszystko, co nosi charakter zabobonu, zwyczaju, podania. Najszczęśliwszy, gdy może odkopać jakiegoś starego Sylwana, nietkniętego przez cywilizacyę, wierzącego, iż jego życie jest związane z istnieniem dębu lub wiązu: upadek drzewa staje się sygnałem śmierci starca. A co za radość, gdy może oddać po Shakespearowsku noc św. Jana, kiedy chłopcy czyhają za krzakami na młode dziewczęta, które wróżą gdzieś tam u starej znachorki. Opisy pełne wdzięku i poczucia natury wiążą się tu z werwą tryskającą śmiechem. a jeszcze częściej z kontemplacyą panteistyczną. Przyroda leczy autora od pesymizmu zaszczepionego przez ludzi. Istotnie panteistyczne poglądy sprawiają wrażenie kojące dla naszych ran wewnętrznych. Śmierć przestaje być straszną: wracamy do tejże fali życia, z której wyszliśmy, jakkolwiek znacznie zmienieni. Świat nie jest pustynią, lecz staje się domem mieszkalnym. Rozterki wewnętrzne, moralne utracą także swą ostrość, gdy człowiek przekona się, iż prawa, które rządzą ruchem gwiazd, przypływem i odpływem mórz i następstwem gatunków zwierzęcych, odnaleźć się dają i w wirowaniu jego sumienia. Wówczas etyka znajdzie podstawę naukową, naturalną. Nastąpi okres harmonii pomiędzy czynnikiem osobistym i społecznym. Tymczasem one znajdują się w zatargu bezustannym. Hardy maluje ten zatarg po mistrzowsku, na kwestyi stosunków płci. Już w „Woodlanders'ach" postawił tę sprawę drażliwie. Bogata i ukształcona córka kupca, Grace Melbury, kocha zwykłego chłopa Gilesa Winterburne'a, wychodzi jednak za lekarza Fitzpiersa; ten ją prędko oszukuje i porzuca. Opuszczona znajduje przyjaciela w osobie Gilesa, który nawet umiera, gdy jej honor tego wymaga To prosty leśniczy jest tak szlachetny i rycerski. A ona, czy warta była poświęcenia? Wychowana w tchórzowstwie i karności, wraca do Fitzpiersa. Wprawdzie Grace mści się na mężu, mówiąc mu, iż była kochanką Gilesa, ale czyni to tem-chętniej, iż niema nic do wyrzucenia sobie. Wraca jednak do męża. Jest to ustępstwo, które autor czyni opinii. W „Tess of the d'Urbervilles" nie ma już żadnych ustępstw. Hardy odrazu zapowiada, iż chce dać historyę kobiety „czystej," niewinnej, jego zdaniem, jakkolwiek była kochanką i matką przed ślubem, morderczynią i skończyła na szubienicy. Trzeba mieć wiele odwagi, aby wziąć na się obronę istoty tak straconej. Autorowi nie zbywa na tem. Śmiało rzuca rękawicą społeczeństwu i wszystkim jego przesądom.

W Anglii znaleźć można śród chłopstwa wiele rodów zbiedniałych, z arystokracyi. Taką jest rodzina tkaczy Darberfieldów. Ojciec, Jan, dowiedziawszy się przypadkiem od pastora o swem pochodzeniu, oddał się próżniaczemu życiu i pijaństwu. Matka marzy o tem, jakby wejść w stosunki z bogatymi d'Urberfieldami z okolicy. Posyła w tym celu swą córkę Tess, piękne młode dziewczę, do ich pałacu, gdzie ma objąć urząd ptasznicy. Jest tam stara pani d'Urberfield, ślepa, chora kobieta i syn jej Aleksander, młody arystokrata, rozpustnik. Upatrzył on sobie w ładnej „kuzynce" ofiarę i rozpoczął gorące zaloty. Nie wzbudził jednak w jej sercu ani iskry uczucia i tylko drogą chytrości, korzystając z jej niewiedzy, zmęczenia, snu — dopiął swych planów. „Czemu los postanowił przeprowadzić po tej cudownej tkani dziewiczej, delikatnej jak włókna błękitnego lata i dotąd nieskażonej jak śnieg, ślad tak brutalny?" — zapytuje autor i odpowiada fatalistycznem przysłowiem ludu: „Co ma być, tego nie ominąć."

Niezmierzona przepaść oddzieliła teraźniejszą osobowość naszej bohaterki od poprzedniej Tess, gdy wychodziła z domu rodzicielskiego, aby się udać do „krewnych." Biedaczka wraca wkrótce do rodziców, pomimo próśb Aleksandra, który ofiaruje jej pieniądze, podarunki. Matka wyrzuca jej, czemu nie zmusiła uwodziciela do ożenienia się z nią. Ale on jej nigdy takich propozycyj nie czynił, a gdyby nawet coś podobnego powiedział, biedna Tess wyobrazić sobie nie mogła słów, któreby jej włożyła do ust żywiołowa chęć uratowania swej reputacyi. Uczucia jej względem Aleksandra były dla niej samej niepojęte. Nie żywiła do niego, właściwie mówiąc, nienawiści, ale był jej obojętny, jak kurz przydrożny i nawet dla uratowanie dobrego imienia niewiadomo, czyby się zgadzała zostać jego żoną.

Zaczęła się epoka plotek i prześladowań ze strony kochanych bliźnich. Tess zostawała po dniach całych zamknięta w swym pokoiku. Wychodziła na powietrze tylko wieczorami i wówczas, w gęstwinie lasu, nie czuła się już tak smutną. Lubiła chwile, gdy światło i mroki walczyły z sobą. Świadomość okropna życia zmniejszała się w niej do najdrobniejszych rozmiarów. Nie bała się otaczających cieniów Jedynem jej życzeniem było ukryć się od ludzi, a raczej od zimnego zbiorowiska, zwanego światem, który jest tak okropny, gdy występuje w masie, a nie przedstawia nic groźnego w swych jednostkach i owszem, wzbudza raczej litość.

Tess poruszała się po samotnych ustroniach bez szelestu, w harmonii z otaczającymi żywiołami. Jej wiotka. jakby ukradkiem przemykająca się postać, stawała się częścią składową krajobrazu. Chwilami żywa jej fantazya przetwarzała zjawiska przyrody: wydawały się one częścią własnego jej życia. „Tak—powiada autor—i one *były* częścią jej życia, gdyż świat nie jest niczem innem, jak fenomenem psychologicznym i one były w rzeczywistości tylko tem, czem jej się wydawały." Porywy nocnego wiatru, przebiegające z głuchym jękiem pośród gęsto osypanych śniegiem gałęzi drzew, były szeregiem gorzkich wyrzutów. Dżdżysty dzień był wyrazem smutku i żalu niepocieszonego ze strony jakiejś nieokreślonej istoty etycznej nad jej słabością. Katastrofa zrujnowała po części wierzenia jej pierwotne.

Ale cała ta niejasność bytu, zapełniona widmami i głosami wrogimi, była błędnym tworem jej wyobraźni, zbiorem gnomów moralnych, które ją straszyły bez wszelkiej przyczyny. Tu spotykamy ustęp nadzwyczaj charakterystyczny dla Hardego. „To te gnomy moralne były w rozdźwięku ze światem rzeczywistym, a wcale nie ona sama. Błądząc pośród ptaków śpiących na płotach, śledząc za królikami, które skakały po dolince zalanej blaskiem księżycowym lub stojąc pod drzewem zajętem przez bażanty, widziała w sobie obraz Występku, który wdziera się do państwa Niewinności. Ale ona wprowadzała myślą kontrast tam, gdzie go wcale nie było. Wyobrażając sobie, iż jest w sprzeczności z przyrodą, znajdowała się tylko w harmonii z nią. Los zmusił ją do naruszenia jednego z istniejących praw społecznych, ale prawo to było nieznane w środowisku, w którem ona uważała siebie za występczynię." Tutaj już czuć głuchy protest przeciw społeczeństwu, ale jeszcze powstrzymywany — później on wybucha z całą gwałtownością. Po porodzie trzeba było szukać pracy. Tess została robotnicą przy żniwach. To daje autorowi powód do skreślenia rozkosznej sielanki. Kobiety zdobywają na polu szczególne piękno, stając się częścią nierozdzielną zewnętrznej przyrody, a nie rzeczą postronną, wstawioną w jej ramki. Robotnik wiejski — to osoba, która znajduje się pośród pola, robotnica wiejska — to część pola; ona traci swą indywidualność, przenika aromatem otaczającej świeżości i zupełnie się z nią utożsamia. Tess ukończyła pracę jedna z ostatnich. Usiadła na snopie, odwróciła się trochę od towarzyszy, przywołała do siebie swą siostrzyczkę, która trzymała dziecko podczas pracy. Wzięła je od niej i, pokrywszy się silnym, wstydliwym rumieńcem, zaczęła je karmić. Mężczyźni, siedzący w pobliżu, delikatnie się odwrócili i starali się spoglądać na drugi koniec pola; niektórzy zapalili fajki; kobiety z ożywieniem rozmawiały, zaczesując rozrzucone włosy. Gdy chłopczyk się nasycił, młoda matka postawiła go u siebie na kolanach i, utkwiwszy oczy w dal, trzymała go z ponurą obojętnością, bliską nienawiści. Ale naraz przypadła doń ustami i zaczęła osypywać pocałunkami namiętnie.

(D. n.)

Dr. L. W.

LITERATURA POLSKA.



Zofia Kowerska, *Iluzya*, opowiadanie, z ilustracyami E. Lindemana. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, 1896, str. 200.

Pan Wiktor Gomulicki w jednem ze swoich sprawozdań literackich, przytacza z niedawno ogłoszonych listów Zygmunta Kaczkowskiego (mieszaniny haniebnie nieskładnej i zaśmieconej) dorywcze jego zdanie o krytyce, w którem rozżalony i jakby urazą do swego społeczeństwa ciągle ścigany powieściopisarz utyskiwać miał na sprawozdawców, że szperają w książkach po to tylko, aby ich ułomność wykazać, a o ich zaletach zamilczeć. „Takich krytyków — dodaje Kaczkowski (a może i sam p. Gomulicki, bo cytowanego ustępu w „listach" nie spotkałem) — krytyków takich oddawna już nie ma we Francyi i Niemczech; ukształcona (?) opinia publiczna wysiekła ich rózgami solonemi, szyderstwem i pogardą..." Jakkolwiek wiem najdokładniej, że w Niemczech i we Francyi dzieje się dziś zupełnie naodwrót i że krytycy tych krajów sami wyłącznie używają „solonych rózg" na miernoty i lichoty pisarskie, zapychające oficyny wydawnicze towarem byle z rąk i byle na pokaz okładkowy, to jednak cytata z Kaczkowskiego (respective zaś wyrok p. Wiktora Gomulickiego) w niesłychany sposób pochlebia próżności mojej recenzyjnej, gdyż — jak dziś czytelnikowi *Prawdy* doskonale już wiadomo — zawszem usiłował wydobyć z autorów polskich (a z p Gomulickiego *Złotych ogniw* w pierwszym rzędzie) wyłącznie dodatnią treść ich prac i utworów; gdziekolwiek zaś wzrok mój tępy, nieuctwo, nieznajomość rzeczy, lub inna jaka z licznych ułomności mojego umysłu, usiłowania takie na jałowość naraża, poprzestaję wprost na lękliwej i potulnej roli sprawozdawcy, streszczającego jedynie faktyczną zawartość powierzonego mi do rozbioru dzieła.

Dowodem na ostatnie moje twierdzenie jest, między innemi — pani Zofia Kowerska. Trzecią oto już zrzędu jej powieść dostaję do rąk w ciągu jednego niespełna roku i wciąż jeszcze w cichości mojego ducha rozmyślam nad tem (wobec nieustających reklamacyj czytelników: „dlaczego Hodi pisze tak zagadkowo?" — „po co ciągle chowa się za swój referat przedmiotowy?" — „czemu nie mówi na czem się zasadza jego, Hodiego, w danej sprawie opinia?"), — jakimby sposobem raz jeszcze wystawić sobie parawan z dosłownych przytoczeń z książki i tym sposobem zwalić wydanie werdyktu na światłe sumienie publiczności. I rzeczywiście,

są pisarze — a do ich pocztu stanowczo pani Kowerska należy, względem których podmiotowość nasza, jaźń nasza, ze wszystkiemi swojemi wrażeniami, zachowuje się do tego stopnia biernie i nijako, niczem nieodpychana i przez nic nie pociągana, że zarówno ich dowodzenia logiczne, jak i ich uwydatnienia estetyczne mają dla nas postać i wartość jakichś formuł uogólnionych, algebraicznych, stwierdzających pewniki lub tożsamości tej oto np. doniosłości, że $a+a+a+a$ równa się $4a$, lub też $a+a=a2$. Z dwu wielkich łożysk, któremi indywidualność artysty działalność swą roztacza: natury i temperamentu— natura tak się u nich zaciera w rysunku mglistym i niepewnym, temperament zaś tak się rozcieńcza w kolorycie, bladym i nikłym, że na ich tle szarem pozostaje jedynie dykcya ujednostajniona, czyli przędza osnowy i wątku, podobna do kłębiących się wydm piaszczystych lub do karbowania się płytkiej powierzchni potoku. Postawiony wśród tej masy sypkiej lub nad tym żywiołem ruchomym, cóż innego i lepszego ma do czynienia nad zaczerpnięcie to tu, to tam, garści żwiru lub płynu? — „Tak, pani, jestem ofiarą iluzyi. Powiem, jak się to stało, skoro pani sobie tego życzy. Miałem już lat trzydzieści i zawód miłosny w duszy. Przeżyłem już smutną historyę uczucia, które ani na chwilę nie otrzymało sankcyi rozsądku mojego. Kochałem przez dwa lata szalenie istotę niższą mi duchem, kłamliwą i próżną, która mię, krok za krokiem, przeprowadziła przez wszystkie stacye męczącej Kalwaryi, po której przebyciu utraca się często na zawsze zdolność kochania i wiarę w szczęście..." Oto jest zagajenie sprawy. W dalszym jej ciągu — równym, jednostajnym, białym, jak pole ośnieżone lub zielonym jak łąka przed rozkwitem, będziemy mieli roztoczone losy bohatera, który za namową ciotki (bo marcowy kawaler czyliżby ostać się mógł bez dobroczynnie doradnej wujenki, stryjenki lub ciotki?), daje się jej „oszukać" i wpada w „samotrzask," zastawiony „dyplomatyczną sztuką" niewieścią. I żeni się? — Właśnie, że nie. Największy sens moralny tego wymaga, aby zrażona zawodami pierwszej miłości *podejrzliwość* ukaraną została...

Zosia... a jakże, Zosia! — przypadła osaczonemu niezmiernie do przekonania. „Wcale nie zdawałem sobie sprawy—opowiada on później przed nią samą, gdy już wyszła za mąż za kogo innego — że to była poczynająca się miłość; ani razu nie pomyślałem, że ta dziewica-dziecię mogła zostać moją; wcale nie pamiętałem, że ja byłem człowiekiem zmęczonym i to zmęczenie czującym przedewszystkiem. Nie przykrawałem tych chwil, z Zosią spędzonych, do żadnych teoryj, do żadnych filozofij, do żadnych krytyk, do żadnych wyników dawniejszego doświadczenia. Ot, po prostu stałem się nagle dwudziestoletnim młodzieńcem i czułem jak dwudziestoletni młodzieniec... A przyszło to sobie najnaturalniej. Obudziłem się takim po wieczorze tanecznym (z Zosią, oczywiście). Opadły ze mnie wszelkie skeptycyzmy, wszelkie obawy, wszelka gorycz. Ramiona moje stały się nagle lekkie; byłbym przysiągł, że miałem u nich skrzydła..." I czemuż na skrzydłach tych odrodzony jegomość nie wyfrunął — jeżeli nie jak orzeł, to przynajmniej jak wypierzony wróbel? „Upłynęło jeszcze kilka tygodni, podczas których zdałem sobie nakonice sprawę dokładnie z tego, co się ze mną działo. Poprostu, kochałem Zosię i to już nie jak dziecinny chłopiec, ale jak mężczyzna czujący po mężku... Zosia była uboga, miała liczne rodzeństwo, byłem dla niej partyą — świetną partyą. Chodziło tylko o zdobycie jej serca. Ale miłość zdobywa się przecie, a ja miałem w przeszłości mej dowody, że kochanym być mogę. Trzeba mi tylko było postarać się o przywiązanie dziewczyny..."

No i cóż? jakże poszło? Na str. 196—197 mamy świadectwo samej Zosi — już jako mężatki, pani Ukorskiej, że pretendent primo voto podobał się jej był w swoim czasie najzupełniej. Ale, niestety, ślepym był: zawiązała mu oczy iluzya. — „Gdyby nie ta iluzya, byłbym na balu oświadczył się o rękę pani!.." Jaka iluzya, co za iluzya? — Pani Ukorska rzecz tę wyświetliła przed nami z wszelką możliwą dokładnością. „Wie pan, jak to było? Wszystkie pieniądze, jakie mi matka dała na strój balowy, wydane zostały na suknię... Stanik w tej sukni — wskutek niefortunnego pomysłu cioci pańskiej, zbyt został wycięty... nie okrywał należycie ramion.. Potem, gdy przyjechała matka, kupiła mi te parę łokci iluzyi... dla przykrycia... Stanik, to była moja rozpacz przez cały czas balu. Każde spojrzenie na moje zbyt obnażone ramiona wydawało mi się chłostą. Naciągałam tę nieznośną, pretensyonalną iluzyę, jak mogłam... Najwięcej mię bolała niema nagana, którą czytałam w surowym wzroku pana. Pragnęłam się do pana zbliżyć, pragnęłam się wytłomaczyć, ale nie miałam na to odwagi.. Słowem, *parę łokci iluzyi*: z pod których raz po raz w tańcu wyglądały niedyskretne ramiona, zamiast skleić widoki ciotki — rozkleiły serdeczną i zobopólną miłość jej protegowanych, a p. E. Lindemann, który powołany został do uświetnienia tej pouczającej epopei miniaturowemi rycinkami, przedstawił „tragiczne" jej rozwiązanie (na str. 185) w kształtach poniekąd olimpijskich: okrył Zosię — nie iluzyą, lecz grubemi, zawiesistemi obłokami, po przez które do „dziecięco-dziewiczej" jej piersi tłumnie dobijają się błyskawice...

Kaczkowski ustami Gomulickiego, Gomulicki zastawiający się (od „rózeg solonych"?) Kaczkowskim, protestują przeciwko wyłącznemu wytykaniu ułomności. Dziwni ludzie, dziwne ich obawy! Trzebaby nieraz większej mądrości nad Salomonową, ażeby wśród roztętnionych pustek tegoczesnego powieściopisarstwa wyszukać jedną drobniutką poszlakę czegoś w rodzaju skazy, zboczenia, błędu. Błąd, zboczenie, skaza, przypuszczają i dopominają się nieodmiennie o pytania: od czego zboczenie? względem jakiej normy błąd? na tarczy jakiego ideału skaza? A tu tymczasem masz przed sobą najzwyklej jakieś tylko grzebanie się stalówki w stożkach niemowlęctwa humorystycznego tej oto np. treści: „Z dzieci robią się panny, jak z kijanek żaby... prawda Anielko?—Prawda—odpowiedziała Anielka" (123); albo też podziwiać musisz wydłubywanie palcem jamek monologowo-psychologicznych następującej głębokości: „Patrząc na unikającą wytrwale mego wzroku Zosię, miałem uczucie, że wiozę coś drogiego, kruchego, o co drżałem, a co mi się mogło z rąk wyśliznąć. Przy pierwszym wybuchu radości mojej na widok Zosi, pozbyłem się był zupełnie chorobliwej manii krytykowania i szukania plam na słońcu. Byłem znowu bardzo młody i ufny, ale trwało to tylko chwil kilka. Prędko robak zwątpienia począł toczyć moje serce. Bo to robak! To doprawdy robak, który się naprzód czepia swej zdobyczy leciuchno, jakby ją tylko musnąwszy, a potem powoli zaczyna dzieło męczarni i zniszczenia. Walczyłem z sobą, miłość moja broniła się, miewała chwile zwycięzkie, ale ohydny, wielorogi robak budził się, a ja nie mogłem odrzucić go daleko od siebie. Ciotka przeznaczała mi Zosię, wiedziałem, że wszystko, co się dokoła mnie działo, miało na celu moje małżeństwo — więc przez jakąś mimowolną reakcyę broniłem się od szczęścia, jak od złodzieja, a krytyka i nieufność były we mnie taką bolesną manią, jaką bywa zazdrość niektórych mężów... Chodziło mi o to przedewszystkiem, aby Zosia nie sądziła przypadkiem, że się o nią staram. Kręciłem się więc koło Amelki, byłem na usługi Amelki... Boże, jak ta dziewczyna mnie nudziła! Ale ja przezwyciężałem wszystko, byle Zosia nie przypuściła, że miała we mnie konkurenta. Miało to dla niej swoją dobrą stronę. Nieśmiałość jej i nienaturalność względem mnie znikła. Była znowu tą dziewicą-dzieckiem, która mnie tak zachwycała... Spostrzegłem, że ciotka nie wiedziała, co o tem sądzić" itd. itd.

Krytyka nasza pokrywa milczeniem zalety dzieła! — powtarza p. Gomulicki za Kaczkowskim i we własnem imieniu. Lecz, czyliż mu nie wiadomo, że dla wydobycia na jaw tych zalet często wypadłoby przepisać na nowo, od końca do początku całą książkę? Skoro raz, z łaski bożej i usłużności własnego, domowego patronatu redakcyjnego, zdobyło się sławę znośnego, w czytaniu autorstwa, cokolwiekby następnie z siebie się wylało lub wysypało, składać się musi nieodbicie z samych pereł i drogich kamieni już „uznanego" talentu. „Rózia," „Siostry," „Irena," albożnie są wystarczającą rękojmią doskonałości „Znanych dziejów," „Na służbie," „Iluzyi"? Gdyby Sienkiewicz odgrodził się dziś od świata furtką klasztorną i zaciągnąwszy się do reguły siedmiu braci śpiących, pozwolił gwardyanowi podpisywać imieniem autora „Potopu" senne tych braci majaczenia w dniu sądnym, ukamienowanoby u nas śmiałka, któryby się na fałszerstwie poznał. Wiekuiści hołdownicy obcych wzorów i przyjętych na słowo powag, nieumiejący zdobyć się na własne czucie piękna ani w stroju, ani w urządzeniu swych mieszkań, ofiary dowolności i kaprysów postronnych w dziedzinie wyższych potrzeb społecznych, rządzimy się też swawolą, fanaberyą lub koteryjnością miałką w kwestyach dotyczących umysłowości rodzimej. Nie dla nas męzka surowość sądu i przekonania. Faworytyzm najniższego rzędu przykrywamy potrzebą pobłażliwości, dla której usprawiedliwienia nie żałujemy sobie pozorów politowania godnych: to względy „chlebowe" słabość naszą tłomaczyć mają, to dobre intencye za skutek niech starczą, to zasługa ojca lub bratanka na polu czynów zastąpić powinna kwiat i owoc na uschłem drzewie sztuki i umiejętności. Ostatni, najhaniebniejszy, najszkodliwszy wyraz bezdusznej tej tolerancyi wychodzi oto z ust pisarza, moralisty, poety, który sam zawsze nader tkliwym był na czystość, wdzięk i godność wytwórczości swej literackiej — a pomimo to, nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć z jakich pobudek, oświadcza się dziś z mocnem swem potępieniem jednostronnie jakoby ciętej i wygórowanie dotkliwej krytyki u nas— u nas, cośmy już rzeczywiście sparszywieli wskutek nieustającej, wzajemnej admiracyi i wzajemnego okłamywania samych siebie.

J. T. Hodi.



Łódź. Ze zwyżki cen zboża na targach miejscowych skorzystali już piekarze; chleb podrożał o dwa grosze na funcie. Rynek zbożowy ujawnia ciągle dążność zwyżkową. Wynika to ze zmniejszenia dostawy zboża na targi w przewidywaniu cen jeszcze wyższych, oraz z zakupu gotowych zapasów zboża przez agentów zagranicznych, którzy, jak zapewnia korespondent *Kur. Warsz.*, dokonywają znacznych tranzakcyj na terminową dostawę ziarna śród ziemian okolicznych. — W sferach przemysłowych ruch się ożywił. Fabrykanci wysłali wojażerów swoich do Cesarstwa i nawet za Ural. — Przedmieście Łodzi — Bałuty, dotychczas własność p. A. Zawiszy, prze-

szły w posiadanie grona mieszkańców miejscowych. Nowonabywcy oddali w dzierżawę plac, gdzie za prawo postoju włościanie i różni handlarze przybywający na targi muszą płacić z góry. Skutkiem tego ceny produktów spożywczych, najniezbędniejszych, znacznie wzrosły, a na całej tej spekulacyi najbardziej cierpi ludność uboga. Z tego powodu mieszkańcy przedmieścia i czynszownicy wystąpili do władzy z podaniem o zniesienie przymusowych opłat, wychodząc z tej zasady, że jak dotąd, faktycznymi właścicielami placu uważani byli wyłącznie mieszkańcy i czynszownicy Bałut.—Bank handlowy łódzki otwiera filię w Warszawie. — Zapowiedziano „bazar gwiazdkowy“ na rzecz chrześciańskiego Towarzystwa dobroczynności. — Ludność uboga odczuwa dotkliwe brzemię lichwy. Za krótkoterminowe pożyczki kapitaliści pokątni pobierają 30—60%. Z pożyczek takich korzystają drobni kupcy i rzemieślnicy. — Otwarto lecznicę prywatną pod nazwą polikliniki d-ra Markowskiego. Opłata za leczenie i całkowite utrzymanie chorego wynosi dziennie 3 rs. Za poradę jednorazową przychodzący chory płaci 30 kop. — Stosunki zbożowe znacznie się poprawiły. Wielu kupców i agentów bierze lub kontraktuje ziarno po cenach stosunkowo niezłych: przeszło 6 rubli za korzec pszenicy i 4,40 za korzec żyta. Na wiosnę ceny prawdopodobnie wzrosną więcej. — Za parę tygodni będzie otwarty szpital fabryczny, którego koszty urządzenia i utrzymywania ponosić mają przemysłowcy łódzcy. Zakład ten mieścić będzie 80 łóżek etatowych. Stałych lekarzy będzie 6 ciu, z których 4 ordynatorów i 2 asystentów. — Od 1 grudnia oddana będzie do użytku dziewcząt-Żydówek prywatna szkoła rzemieślnicza, która składać się ma z dwu oddziałów: ogólnego i specyalnego. Program nauk obejmuje zakres szkół trzyklasowych. W oddziale ogólnym: rysunki, buchhalterya, szycie, cerowanie. W specyalnych: nauka gospodarstwa domowego wraz z kucharstwem, „konfekcya damska,“ hafciarstwo, introligatorstwo.

Mińsk. Od 13 listopada oddano na użytek publiczny sieć telefonów skarbowych. Oczywiście są one przystępniejsze dla ogółu, niż w Warszawie, w której jeszcze zapewne przez długie lata telefon będzie przedmiotem zbytku dla większości mieszkańców.

Kijów. Wydział historyczno-filologiczny uniwersytetu miejscowego ogłosił konkurs na temat do rozprawy: „Wojny Polskie z kozactwem w drugiej połowie wieku XVII i w początkach XVIII.“ Za najlepszą rozprawę przyznany będzie medal złoty. — Wskutek podniesienia się cen nafty z 11 do 16 kop. i jednocześnie zniżenia ceny węgli kamiennych, koleje Południowo-Zachodnie wprowadzają jako paliwo węgiel tam, gdzie była używana nafta. — W ciągu tygodnia koleją Władykaukazką do Noworosyjska przyszło 1,300 wagonów ziarna. Ceny zboża ciągle idą w górę. Jednocześnie podniesiono fracht od Rostowa do morza Azowskiego. — *Kijewlanin* donosi, iż r. 1897 otwarte będą nowe oddziały Banku państwa w Białej Cerkwi, Winnicy i Homlu. — W Kijowie założono „Południowo-Zachodnie Towarzystwo wstrzemięźliwości.“ Prezesem tej instytucyi został profesor uniwersytetu św. Włodzimierza, p. J. Sikorski.

Moskwa. Zatwierdzono ustawę Muzeum hygienicznego w Moskwie. Celem jego jest: 1) rozpowszechniać wśród ogółu wiadomości z hygieny i zaznajamiać go ze środkami ochrony zdrowia, tudzież ulepszeniami sanitarnemi warunków życia; 2) pomagać właścicielom fabryk i zakładów przemysłowych w zaznajamianiu się z najlepszymi wzorami środków ochronnych i urządzaniu domów robotniczych; 3) służyć za instytucyę pomocniczą dla początkujących techników, gdzie ci mogliby obeznać się z udoskonaleniami hygienicznemi w obranej specyalności; 4) dawać możność publiczności, technikom i lekarzom badać postęp techniki sanitarnej i hygienicznej, oraz popularyzować wśród publiczności wynalazki i udoskonalenia z tej dziedziny. Muzeum składa się: a) z kolekcyi modelów, rysunków i samych przedmiotów hygienicznych, w formie urządzeń, narzędzi, materyałów itd.; b) z rysunków i planów urządzeń fabryk, warsztatów, mieszkań, gmachów miejskich, szczegółów maszyn itd.; c) z przyrządów i modeli do objaśniania zasad hygieny, oraz podawania pierwszej pomocy; d) z bibliotek, książek i atlasów z zakresu hygieny publicznej, przemysłowej i technicznej. Muzeum może zakładać, po porozumieniu się p. ministra skarbu z p. ministrem spraw wewnętrznych, biura informacyjne, stacye doświadczalne itp. urządzenia dla wypełniania poleceń osób postronnych; urządzać wystawy, odczyty itd.

PRASA ROSYJSKA.

Warsz. Dniewnik pisze:

„Korespondent paryski *Dziennika polskiego* donosi, że do budżetu francuskiego na r. 1897 wniesiono sumę 117,000 franków, przeznaczając ją na wsparcia dla emigrantów, szukających przytułku we Francyi. Pozycya ta ulegała znacznemu wahaniu się. W r. 1832, w epoce napływu do Francyi uczestników buntu polskiego, asygnowano 3,600,000 franków. Następnie suma ta była obniżona do pół miliona fr. i wahała się stosownie do większego lub mniejszego napływu emigrantów. W r. 1863 dla nowej polskiej emigracyi przeznaczono 1,500,000 fr., w 1870 — 1,000,000, w 1871 — 800,000, w r. 1874 — 750.000, w 1876—400,000, w 1878—300,000, w 1886—275,000, w 1887—235,000, w 1886 200,000, w 1889—195,000, w 1891—150,000 i w 1896 — 120 000 fr. Takie zmniejszenie wsparcia komisya budżetowa tłómaczy „złagodzeniem obyczajów w Europie,“ dzięki czemu nieledwie wszyscy emigranci mogą powrócić do ojczyzny. W chwili obecnej owo wsparcie nosi charakter dobroczynny, zabezpieczając byt zupełnych sierot i starców. Będzie ono coraz mniejsze, im więcej starców będzie ubywało wskutek śmierci. Gazeta polska dziwi się, że rząd francuski wobec nowych prądów zupełnie nie uchyla się od tego rodzaju „obowiązku“ i jest zdania, że ogół polski powinien energiczniej podtrzymywać swoje instytucye, nie oglądając się na pomoc obcą.“

W dalszym ciągu *Warsz. Dniewnik* donosi, że redakcyę *Dziennika poznańskiego* objął korespondent *Kraju* petersburskiego, p. W. Łebiński, który w zapowiedzi programowej oświadcza, że w Królestwie Polskiem postara się o korespondentów, którzy „porzucą system bezpłodnego drażnienia.“ Wreszcie *Dniewnik* powiada:

„Posłowie polscy zamierzają wnieść interpelacyę z powodu rozporządzenia królewskiego co do zmiany barw prowincyi W. Ks. Poznańskiego. Rozumie się, że interpelacya ta nie ma wcale widoków powodzenia, gdyż w niemieckich kołach politycznych przeważa teraz nastrój silnie antipolski Prasa poznańska skarży się na zmianę polityki rządowej względem Polaków; *Orędownik* zaznacza, że w Berlinie wylewają wiadro po wiadrze zimnej wody na głowy polskie i że taką zmianę w polityce niemieckiej naród polski zawdzięcza swym przedstawicielom w parlamencie, oraz t. zw. dworskiemu stronnictwu polskiemu.“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Poruszono sprawę ubezpieczenia na wypadek śmierci lub kalectwa wszystkich pracowników kolejowych w dziale ruchu.

— Nowe sądy w Syberyi otwarte będą 1 lipca r. p.

— Minister rolnictwa przesłał do ministeryum sprawiedliwości wniosek, ażeby złodzieje koni byli wysyłani na dożywotnie osiedlenie do gubernij syberyjskich.

— Ministeryum komunikacyj postanowiło nadać prawa służby państwowej pracownikom kolejowym.

— P. A. Parczewski zaprojektował zawiązanie oddziału Towarzystwa popierania rusk. przemysłu i handlu w Kaliszu. Na listę nowej instytucyi zapisało się około 30 osób.

— Z powodu zmów robotników portowych w Lubece, Hamburgu i Bremie, żegluga znacznie [illegible] dniona.

— Zmowa robotników fabryki gazowej w Bordeaux ukończona. Rada miejska zagroziła zakładowi odebraniem koncesyi, poczem przyjęto warunki robotników. (*Kur warsz.*).

— „Macierz“ lwowska postanowiła wydać encyklopedyę powszechną dla ludu.

— Rząd kantonu St. Gallen w Szwajcaryi pozwolił na palenie umarłych.

Szkoły. Departament lekarski poruszył sprawę powiększenia szkół felczerskich i akuszeryjnych w różnych miejscowościach państwa.

— Lekarka, p. Czarnomska, otrzymała posadę ordynatorki kliniki dziecięcej przy Akademii lekarsko-wojskowej w Petersburgu.

— Rozpoczął się rok szkolny na wyższych kursach naukowych żeńskich, założonych przez d-ra Adryana Baranieckiego w Krakowie. Dyrektorem jest prof. uniwersytetu dr. Józef Rostafiński. Rada miejska uchwaliła prowadzić ów zakład tymczasowo jeszcze przez bieżący rok szkolny, poczem projektowane jest przekształcenie, polegające na połączeniu z t. zw. kursami uzupełniającymi dla panien przy szkole wydziałowej żeńskiej. Osobny oddział malarstwa, prowadzony niegdyś przez Matejkę, powierzono obecnie p. Jackowi Malczewskiemu.

Posiedzenia. W sekcyi technicznej poruszono kwestyę, jakie drzewo w budownictwie jest lepsze: spławiane, czy dowożone lądem? Okazało się, że jeszcze pod tym względem technika nie przyniosła nam pewnych danych. — Budowniczy p. Rogojski odczytał rzecz o domach mieszkalnych w Chicago i New-Yorku i przyszedł do przekonania, że pod względem wygody i warunków zdrowotnych w zakresie budownictwa jesteśmy w lepszych warunkach, niż mieszkańcy zaoceanowi.

— Sekcya rzemieślnicza w ubiegłym tygodniu roztrząsała bardzo żywotną „kwestyę chwili bieżącej“ — rozwożenia pieczywa, — którą wywołała utrudniona komunikacya kołowa. Piekarze za pośrednictwem sekcyi starają się o zmianę rozporządzeń policyjnych.

Gospodarka miejska. Inżenier p. Sokal, adwokat przysięgły p. Budny i obywatel kupiec p. Stanisław Grodzki wystąpili do magistratu o udzielenie im koncesyi na prawo eksploatowania w mieście samochodów elektrycznych. Będą one przewozić towary i ludzi. Koncesya ma trwać lat 50 i nikt w tym czasie drugiej nie otrzyma. Na początek samochody kursować mają: od placu Krasińskich do Trzech Krzyży przez Miodową, Senatorską, plac Teatralny, Wierzbową, plac Saski, Mazowiecką, Warecką, Szpitalną i Bracką. Samochody mogą kursować dniem i nocą, będą zatrzymywać się na żądanie; najwyższa opłata za kurs 10 kop. Przedsiębiorcy wnosić będą na rzecz kasy miejskiej po 5% od dochodu brutto, magistrat ma prawo wykupić to przedsiębiorstwo po upływie lat 15-u. Po latach 50 całe przedsiębiorstwo przejdzie na własność miasta bezpłatnie, z gruntem i pomieszczeniem samochodów. Spólnicy obowiązują się wprowadzić tę komunikacyę najdalej w ciągu lat trzech od daty otrzymania koncesyi.

— Ogólny dług 287 miast w państwie rosyjskiem, zaciągnięty w Towarzystwie kredytowem miejskiem wynosił 603,700,028 rubli. Największa suma a mianowicie przeszło 188,000,000 przypada na Petersburg; następnie idą: Moskwa—143,000,000, Odesa—56,000,000, Warszawa około 41,000,000, Ryga—18,000,000, Kijów—17,000,000 i Tyflis—16,000,000. Reszta przypada na pozostałe miasta.

Wystawy i zjazdy. W Krakowie r. p. odbędzie się zjazd prawników galicyjskich, celem rozpatrzenia wchodzącej w życie nowej procedury austryackiej.

— W Warszawie na Dynasach otwarto wystawę panoramy „Tatry.“

— Zjazd górniczy w Warszawie otwarty będzie w grudniu r. b. Obradom przewodniczyć ma naczelnik zarządu okręgu górniczego zachodniego, inż. W. Choroszewski.

— Za kilka tygodni otwarta będzie w Petersburgu japońska wystawa sztuki.

— Ministeryum rolnictwa, uznając, że wystawy rolnicze mogą przynosić rzeczywistą korzyść tylko przy prawidłowej organizacyi, proponuje zmiany następujące: 1) okazy powinny być zaopatrzone w szczegółowy opis stanu odpowiedniej gałęzi gospodarstwa; 2) okazy pochodzenia zagranicznego winny być zaopatrzone w cyfrowe dane o składzie chemicznym (nawozy sztuczne), o sile wschodzenia

(nasiona) itd.; 3) komitety organizacyjne mogą otwierać oddziały filialne w celu szerszego wciągnięcia wystawców; 4) komitety organizacyjne oznaczają liczbę komisyj ekspertów i sporządzają dla nich instrukcye; 5) skargi wystawców roztrząsane są w komitecie organizacyjnym; 6) nagradzanie oddzielnych wystawców ma pierwszeństwo przed premiowaniem całych grup; 7) grupy różnorodnych okazów nie mogą być nagradzane; 8) przysądzanie nagród odbywa się w łonie komitetu organizacyjnego z udziałem komisyi ekspertów, oraz instytucyj, które wyznaczyły nagrody; 9) wystawcom wręcza się kopie oceny ich okazów z odpowiedniemi adnotacyami; 10) za okazy włościańskie należy wydawać specyalne medale srebrne.

— W Petersburgu dn. 24 b. m. otwarto francuską wystawę sztuki.

Koleje i komunikacye W Pekinie ogłoszono rozkaz cesarski o mianowaniu głównego dyrektora kolei i pozwoleniu budowy dróg żelaznych Honkong—Kanton—Suchan, oraz o zaciągnięciu sumy dwudziestu milionów taelów. Na wykonanie tych robót potrzeba będzie ogółem 40 milionów.

Zdrowie publiczne. W Warszawie powstaje prywatny zakład położniczy, staraniem lekarzy.

— Petersburski instytut medycyny doświadczalnej postanawia otwierać filie w celu badania chorób zaraźliwych.

— Wkrótce w departamencie kolejowym odbędzie się pierwsza narada lekarska celem przejrzenia przepisów o rewizyi osób, wstępujących do służby na kolejach żelaznych skarbowych, tudzież opracowania nowych przepisów o wydawaniu zapomóg osobom poszkodowanym na zdrowiu podczas służby.

— Ministeryum komunikacyi poleciło starszym lekarzom kolejowym rewidować, jak można najczęściej, bufety kolejowe, w celu sprawdzania dobroci artykułów spożywczych.

— Poruszono sprawę utrzymywania felczerek na ruchliwych stacyach osobowych kolei żelaznych.

Przemysł. Tegoroczne zbiory pszenicy w Niemczech wypadły pomyślniej, niż roku ubiegłego. Według obliczeń urzędowych, całe państwo posiada pszenicy zimowej o 7,8%, a jarej o 8% więcej, niż [illegible]

— Ministeryum skarbu zniżyło o 50% taryfę od przewozu bydła rasowego, sprowadzanego z za granicy dla gospodarstw prywatnych.

Wynalazki. Prof. Moissan przedstawił chemikom w Nowym Jorku swego pomysłu piec elektryczny do topienia metalów. Specyaliści podobno wyrażają się z uznaniem o tym wynalazku.

Teatr i muzyka. Wkrótce dane będzie przedstawienie poranne na korzyść kasy pożyczkowej artystów teatrów warszawskich.

— Dyrektor Zygmunt Noskowski postanowił wykonać na jednym z wieczorów Towarzystwa muzycznego „Dziady" Moniuszki, których Warszawa nie słyszała od lat kilkunastu. Myśli tej przyklasnąć należy.

— D. 24 b. m. odbył się w Warszawie koncert fortepianisty Józefa Hofmana.

Wypadki. W Końskich zdarzył się wybuch. Runęły dwa domy.

— W Westfalii zdarzył się wybuch gazów w kopalni imienia hr. Blumenthala. Zginęło 24 górników, przeważnie Polaków.

Zmarli. Antoni Nagórny, ekonomista. Założył r. 1865 miesięcznik p. t. *Ekonomista*, redagował go do r. 1868. Poczem pismo upadło znów podniósł i na tygodnik zamienił w r. 1878. Brał żywy udział w pracach około rozwoju różnych instytucyj ekonomicznych.

— Stefania Kownacka, w Warszawie, znana przed kilku laty z występów publicznych, jako zdolna fortepianistka.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 15 Ноября 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.